№ 3. Warszawa, 14 stycznia 1922. Cena 80 mk. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

WILNO.

Wybory wileńskie zbiegły się z konferencją w Cannes. Pozornie te dwie sprawy, które jednocześnie zaprzątnęły naszą uwagę — jedna nasza blizka, domowa a druga daleka wszechświatowa tak dalece nie mają ze sobą nic wspólnego, że trudno poruszać je w jednym artykule. A jednak to tylko pozornie. Co się w Cannes szykuje [1]) nie może pośrednio nie odbić się i na losie Wilna, którego ostatecznie wynik wyborów do Sejmu i uchwały Sejmu jeszcze nie rozstrzygają, bo sprawa Wileńska stanęła już na terenie międzynarodowym i niezadługo już będzie znów tematem obrad Ligi Narodów.

O czem mówi konferencja w Cannes?

Mówi o tem, że odbudowa Europy, przywrócenie normalnych warunków życia, likwidacja chaosu powojennego są istotnie na porządku dziennym. Zegar świata wskazuje, że niezadługo wybije godzina, z którą skończy się przejściowy i wyjątkowy stan, jaki zapanował po wojnie.

Powinniśmy uświadomić sobie, co niesie nam ta godzina, a niedługie chwile, które nas od niego dzielą, z całą świadomością i największym pożytkiem wyzyskać.

Gabriel Seailles pisał niedawno, że „siła Polski polega na chwilowej niemocy jej sąsiadów Rosji i Niemiec". Złośliwie powiedziano. Ale w tem złośliwem powiedzeniu jest sporo prawdy i przytem prawdy bynajmniej nas nie upokarzającej. Jest rzeczą naturalną, bowiem i zrozumiałą, że Polska z chaosu powstająca, dopiero organizująca swoją państwowość, a zatem jeszcze słaba zyskuje do pewnego stopnia na tem, że i dokoła niej panuje chaos powojenny, ma dzięki temu większą swobodę ruchu i więcej czasu do utrwalenia swej państwowości.

Ale, jeżeli zegar świata wskazuje, że niedaleką jest godzina, kiedy z chaosu nowy ład się wyłoni, to powinniśmy wytężyć wszystkie siły, aby na tę godzinę i u siebie chaos na ład już przekształcić a naszą działalność na zewnątrz przystosowywać już nie do chaosu, który przemija, ale do ładu, który powstaje.

Jeżeli w chwili, kiedy Europa powojenna skonsoliduje się, a sąsiedzi wyjdą ze stanu niemocy, pozostawać będziemy jeszcze w stanie nie skonsolidowanej państwowości, jeżeli na kresach w dalszym ciągu uprawiać będziemy politykę naszą, ludność miejscową jątrzącą, a w polityce zewnętrznej, bujać będziemy w fantastycznych planach bezkresnych po stepach ukraińskich i lasach litewskich, i nie zdobędziemy się na realną a przytem jednolitą linją polityczną — źle będzie z nami.

Sprawa Wileńska była jedną z tych, które jaskrawo uwydatniały brak zgodności w narodzie i jednolitej polityki zagranicznej. I jeżeli ten stan rzeczy szkodził nam i wówczas, gdy dokoła nas chaos panował, to o ileż zgubniejszym będzie w chwili, gdy w obronie Wilna staniemy wobec skonsolidowanego nowego porządku!

Sprawa wileńska wchodzi na teren międzynarodowy wobec pretensji do Wilna Litwy dziś, a jutro być może Rosji. Rosja Sowiecka wprawdzie zrzekła się Wilna na rzecz Litwy, a w Traktacie Ryskim stwierdziła swoje desinteressement w sprawie sporu polsko-litewskiego. Lecz Rosja narodowa przez usta swoich przedstawicieli niejednokrotnie deklarowała pretensje do Wilna. Możliwem więc jest, że z chwilą odbudowy Rosji, która przyspiesza konferencje w Cannes, nie uważając na uznanie rządu sowieckiego i pozorne popieranie istniejącego regime'a, z chwilą tą sprawa wileńska znów wypłynie przed forum międzynarodowe już jako spór nie polsko-litewski lecz polsko-rosyjski.

I w jednym i drugim sporze za Polską przemawiają jedne i te same argumenty, których słuszność musi uznać sumienie narodów: polska kultura Wilna i wola miejscowej ludności. W Wilnie niema ani litewskiej, ani rosyjskiej kultury i pretensje Rosjan do Wilna, jako do stolicy dawniejszego zachodnio-ruskiego księstwa, tak samo

---

[1]) Artykuł był napisany przed otrzymaniem wiadomości o zerwaniu Konferencji, która nadeszła już po złamaniu numeru.

są pozbawione życiowej podstawy, jak i pretensje dzisiejszych Litwinów do starej stolicy Księstwa Litewskiego.

Broniąc stanowczo i zgodnie tych argumentów, Polska powinna mieć na zewnątrz jednolity program w sprawie wileńskiej. Tym jednolitym programem nie może być program tak zw. federacyjny, wywołuje bowiem nieprzejednany sprzeciw znacznego odłamu społeczeństwa. Plany federalistów w stosunku do Wilna są tylko częścią więcej obszernego programu federacji, obejmującej nietylko Litwę, ale jeszcze Białoruś i Ukrainę. Otóż program ten pomimo zastrzeżeń, które niejednokrotnie podnosiliśmy na łamach „Tygodnia“, a z których głównem jest to, że trudno „federować się“ z tymi, którzy tej federacji nie chcą,— program ten budzi jeszcze wątpliwość, czy nie jest on już spóźnionym.

Zegar świata wskazuje, że okres mgławicy powojennej już mija, i to, co w tym okresie nie wyłoniło się z chaosu i nowych form nie przybrało, to już się nie wyłoni.

Gdybyśmy chcieli teraz na nowo krajać mapę polityczną i tworzyć nowe państwa (a program fedaralistów wymaga tworzenia państw, z którymi ma być „federacja“) to mielibyśmy przeciwko sobie całą Europę, która chce odbudowy ekonomicznej w istniejących dziś granicach politycznych. Wobec tego z całego programu federacyjnego pozostaje tylko projekt Hymansa, który wywołując sprzeciwy wrogów federalizmu, nie zadawalnia i zwolenników jego.

Z tego wynika, że Polska dla przyszłej obrony Wilna musi szukać sojuszów wśród istniejących już państw, a nie mających dopiero powstać. Jedną z prób rozwiązanie tego zagadnienia przyszłych sojuszów Polski dla obrony naszej granicy wschodniej wogóle i Wilna w szczególności, czytelnik znajdzie w artykule p. Ludwika Kulczyckiego. Oczywiście że nie chodzi tu o żadną akcję zaczepną, a tylko o obronę słusznych praw i interesów na wypadek, gdybyśmy w przyszłości nie doszli do porozumienia z naszym wschodnim sąsiadem. Porozumienie takie jest zdaniem naszem zupełnie możliwem, więcej nawet, porozumienie takie jest kamieniem węgielnym odbudowy i pokojowego rozwoju Wschodu Europy. Ale i do porozumienia się z sąsiadem łatwiej się dochodzi, jeżeli się jest silnym, a nie słabym i ma się sojuszników. Sojusze Polski na południu utrwaliłyby sprawę pokoju.

Sojusze i obrona naszych granic wschodnich.

I.

Dla wszystkich, patrzących trzeźwo na bieg spraw politycznych, było rzeczą aż nadto jasną i pewną, że rosyjskie sfery polityczne wszystkich bezmała obozów, przynajmniej przez czas dłuższy, nie pogodzą się z granicą polsko-rosyjską i polsko-ukraińską (bolszewicką), wytkniętą przez traktat w Rydze w 1921 roku.

Politycy rosyjscy są zazwyczaj zwolennikami granic etnograficznych, o ile chodzi o państwa obce, a historycznych, o ile chodzi o samą Rosję. Co do ziem polskich, to większość stronnictw rosyjkich uważają Wilno, Grodno oraz inne miasta i ziemie, na których leżą one, na terytorjum dawnego W. Ks. Litewskiego — za własność Rosji. Protestują też energicznie przeciwko przyłączaniu ich do Polski. Memorjał, złożony świeżo pań-

IRLANDZKA LIRA WERNYHORY.

II.

Artykuł I-y zawiera zmianę niezmiernej wagi dla dotychczasowych Zjednoczonych Królestw Anglji i Irlandji, przekreśla w zupełności zakorzenioną w społeczeństwie angielskiem Unję z Irlandją, stwarza Dominjum Irlandji. Zielona Wyspa, oddzielona morzem Irlandzkiem od metropolji, wypływa z ciasnego kręgu zagadnień anglo-europejskich, a nawet z ciaśniejszego jeszcze kręgu zagadnień i spraw wewnętrznych rządu londyńskiego, — na bezkresne obszary oceanów, otrzymuje prawa Kanady, Australji, Południowej Afryki...

Pomimowoli myśl szuka porównania z jedną Unją w historji naszej Ojczyzny, kiedy to *„równi z równymi, wolni z wolnymi“* łączyliśmy się w 1569-ym roku z Litwą. Trzy i pół stulecia przegradza ten akt od aktu Irlandzkiego, a jednak ówczesna Litwa zawierała z Koroną liberalniejszą umowę...

Widnieje to jak na dłoni z tekstu przysięgi, którą wolny Irlandczyk, zapewne obywatel Irlandzkiej Republiki, winien składać królowi i cesarzowi Wielkiej Brytanji.

Przysięgę tę ściśle określa artykuł IV-y podpisanej Umowy:

„Przysięga, którą składają posłowie Parlamentu Wolnego Irlandzkiego Państwa, ma zawierać następującą formę:

Ja (imię i nazwisko) uroczyście przysięgam prawdziwą wierność i uległość Konstytucji Irlandzkiego Wolnego Państwa, jako ugruntowanemu prawu, a także będę wierny J. Kr. Mości Królowi Jerzemu V, jego dziedzicom i następcom prawnym, na skutek wspólnego obywatelstwa Irlandji z Wielką Brytanją i jej (Irlandji) przynależności do grupy narodów, tworzących Brytyjską Rzeczpospolitę Narodową“.

Poprostu zadziwia precyzja terminów prawnych w tej zawiłej przysiędze. Istnieje na określenie tej przysięgi trafne przysłowie polskie: „I djabłu ogarek i Panu Bogu świeczkę!“

Nic więc dziwnego, że premjer republikańskiego rządu w Irlandji, adwokat D. Valera, zżymał się i zżyma szczególniej na artykuł IV-y Ugody, zwłaszcza, że w artykule III-im Ugody są zastrzeżone prawa, dla przedstawiciela Angielskiej Korony, który w Irlandji ma się wzorować na generalnym gubernatorze Kanady, w sprawowaniu swych odpowiedzialnych funkcji.

Właściwie, Konstytucja Dominjum Kanady w swych zasadniczych paragrafach, normujących wzajemny stosunek władz prawodawczych i wykonawczych do metropolji w Westminsterze, ma

stwom zachodnim przez różne odłamy emigracji rosyjskiej, stwierdza całkowicie słuszność powyższego mego twierdzenia. Poglądy te podzielają zarówno ludzie tacy, jak Kierenskij i Miliukow, jak również działacze w rodzaju Guczkowa i prawicowców skrajnych.

Niezawodnie, niema u nas w Polsce żywiołów poważnych, któreby nie pragnęły pokojowego współżycia z Rosją, ale dla jego osiągnięcia nie możemy wyzbywać się terytorjów, związanych z nami długowiekową wspólnością dziejową, kulturą, interesem wspólnym, terytorjów, świadoma większość ludności których pragnie niewątpliwie związku z Polską.

To też nie wolno nam cieszyć się tym faktem, że posiadamy w swem ręku obecnie nasze kresy wschodnie i spoczywać na laurach, lecz trzeba nam koniecznie zawczasu szukać sojuszów o charakterze obronnym, zadaniem których byłoby przeciwstawienie się w przyszłości bliższej, czy dalszej — zaborczym tendencjom tych polityków rosyjskich, którzy przeważnie „niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli" i w dalszym ciągu myślą o wznowieniu wielkiego imperjum, od Bałtyku aż do oceanu Spokojnego, od oceanu Lodowatego aż do morza Czarnego, a może nawet do morza Śródziemnego (aspiracje w stronę Konstantynopola).

Istniała u nas i istnieje po dziś dzień koncepcja polityczna, widząca środek zaradczy przeciwko imperjalizmowi rosyjskiemu w tworzeniu małych państewek pomiędzy Polską a Rosją, przez oddzielenie od niej terytorjów nierosyjskich. Wedle tej koncepcji, niepodległe państwa, jak Finlandja, Estonja, Łotwa, Białoruś i Ukraina, stworzyć by mogły rodzaj barjery, oddzielającej Polskę od Rosji. Polska, zdaniem zwolenników tej koncepcji, powinna objąć rolę moralnego, a częściowo nawet politycznego i militarnego protektora tych państw, zarówno we własnym, jak i w ich interesie.

Pomysł ten jest koncepcją czysto teoretyczną, której życie zadało już kłam. Istotnie, za wyjątkiem jednej Finlandji, która jest państwem opartem na względnie silnych podstawach, państwem o wybitnej odrębności nietylko narodowo plemiennej, lecz także kulturalno-politycznej, sojusz z którą ma dla nas duże znaczenie, inne państwa są albo tworami słabemi, jak Estonja i Łotwa, albo też nie zdołały się jeszcze zrealizować i wątpić można, czy się zrealizują, przynajmniej w bliższej przyszłości.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Wygłaszając pogląd powyższy, sympatyzuję zarówno z Estonją i Łotwą i życzę tym państwom, aby możliwie szybko stanęły na mocnych podstawach. Rozumiem też, że niezależność ich leży i w naszych interesach. Ale przyznając to wszystko, nie mogę nie widzieć, że państwa te są słabe i że będzie im bardzo trudno utrzymać swą niezawisłość.

Estonja, mająca miljon ludności, i Łotwa, posiadająca koło dwu miljonów, z natury rzeczy nie mogą tworzyć państw silnych. Grozi im jedno z dwojga: albo wcielenie do Rosji, albo zupełne, o ile chodzi przynajmniej o politykę ich zagraniczną, uzależnienie ich od Anglji.

Dziś już w Łotwie rządzą właściwie przedstawiciele Anglji. Zresztą nie zdradza ona bynajmniej chęci do sojuszu z Polską; ani rząd, ani społeczeństwo nie pragną tego.

Słyszy się często o planach federalistycznych, wedle których Finlandja, Estonja, Łotwa, a może i Litwa — utworzyć by miały jedno państwo związkowe. Otóż federacja ta bez Litwy liczyłaby 6 miljonów, wraz z Litwą 8. Przeciw-

---

być wzorem do naśladownictwa dla Irlandzkiego Wolnego Państwa, co ściśle określa artykuł II Umowy.

Tedy władzę wykonawczą otrzymuje z rąk Króla Anglji i Irlandji generalny gubernator i sprawuje rządy w imieniu Króla, mając do pomocy t. z. *Privy Council* (Radę Przyboczną).

Władzę prawodawczą wykonuje parlament o dwóch izbach: Senatu i Izby Gmin.

Kanada składa się z 9 prowincji, i każda z nich posiada swój parlament. Istnieje Federacyjny Parlament Kanady, złożony z posłów wszystkich 9-ciu prowincji, obieralnych na lat 5 do Izby Gmin. Senat Federacyjny Parlamentu składa się ze 104 senatorów dożywotnich, powołanych przez generalnego gubernatora.

Oczywiście Wolne Państwo Irlandji, mając 2 tylko parlamenty (w Belfast i w Dublinie), zapewne utworzy jeszcze wspólny parlament Federacyjny. Z mianowaniem, raczej powoływaniem dożywotnich senatorów w Irlandji pójdzie gorzej! Istnieje tu już ohydna tradycja, równa naszej Targowicy, kiedy „powoływano ze strony Pitta i Castleregh'a odpowiednich senatorów (lordów) i posłów)", by za miljon funtów sterlingów kupić potrzebną większość dla Aktu Unji z 1800 roku!

Jest znacznie jaśniejsza dla naszej dumy narodowej „pozycja" w dzisiejszej odrodzeńczej walce Irlandji. Oto w pierwszym gabinecie Irlandzkiego Państwa zasiada kobieta o polskiem nazwisku. Niepotrzebnie nasze polskie emancypantki wysłały do pani Markiewicz gratulacyjną depeszę, jako do pierwszej kobiety — sprawującej niedostępny ministerjalny urząd, gdyż w Kanadzie mamy już dwie niewiasty ministrami.

Pierwszym ministrem kobiecym w Kanadzie była p. Rali Smith w prowincji Vancouver. Obecnie zaś i prowincja Alberty powołała na stanowisko ministra kobietę.

Jest nią p. Marja Irena Parlby, prawnuczka słynnego powieściopisarza, kapitana Marryata. Pani Parlby liczy obecnie lat 58 i odznaczyła się w życiu politycznem tem, że utworzyła silne stronnictwo polityczne z właścicieli ziemskich. Jako nadzwyczaj zdolnej organizatorce, powierzono jej departament zdrowia prowincji Alberty.

Pani Markiewicz, będąc zasłużoną działaczką w sferach robotniczych i ludowych, jeszcze na kilka lat przed wojną, słynęła w całej Anglji i Szkocji jako „prawa ręka" irlandzkiego Lenina — robotnika z doków, nazwiskiem Larkin.

Larkin swą nieugiętością i legendowym wprost wpływem na rzesze robotnicze zasłynął szeroko w Dublinie, jako nieprzejednany wróg „kapitalizmu Wielkiej Brytanji".

Podstawą każdego państwa, jego niezależności, suwerenności w dniach dzisiejszych i w la-

waga to dla imperjalizmu rosyjskiego nader słaba. Zresztą jest rzeczą wielce wątpliwą, jakby federacja ta ustosunkowała się do Polski.

Pozostają więc Białoruś i Ukraina. Co do pierwszej, to niema co mówić o niej dużo. Na Białorusi zaczyna się dopiero proces uświadamiania narodowo-plemiennego. O odrębności politycznej narazie mowy być nie może, zresztą, Białoruś nie posiada żadnych danych do wytworzenia odrębnego państwa. Prócz kilku polityków warszawskich nikt o tem nie wątpi.

Co zaś do Ukrainy rosyjskiej, to chociaż stoi ona znacznie wyżej kulturalnie i politycznie od Białorusi, jednak jest rzeczą wątpliwą, a nawet pewną, o ile chodzi o przyszłość bliską, że państwowości samodzielnej w stosunku do Rosji ona nie wytworzy, a tembardziej nie zechce i nie potrafi być naszym sojusznikiem i przeciwstawić się państwowości rosyjskiej.

Dlatego też realna a nie fantastyczna polityka polska szukać musi gdzieindziej sojuszów, które byłyby w stanie zapewnić jej punkt oparcia w walce z imperjalizmem rosyjskim.

Poszukiwania nasze iść muszą w kierunku południowo-zachodnim. Oczywiście, nie znajdziemy w Czechach sojusznika dla obrony naszych granic wschodnich. Prócz Czech, w kierunku wyżej wskazanym, mamy jeszcze dwa inne państwa, dotychczas wrogie sobie: Węgry i Rumunję. Rozpatrzmy przedewszystkiem wzajemny stosunek tych państw do siebie.

II.

Rumunja wzięła wybitny udział w podziale Węgier, zabierając im Siedmiogród, który jest dla nich tem, czem dla Polski Galicja Wschodnia. Ponieważ w Siedmiogrodzie jest bardzo poważna mniejszość madziarska i to doborowa, na którą skierowane zostały represje rządu rumuńskiego, ponieważ polityka jego dążyła do usunięcia z tego kraju wszelkich wybitniejszych śladów kultury madziarskiej — skutkiem tego wszystkiego stosunki węgiersko-rumuńskie były i są bardzo złe; istnieje też silna nienawiść nietylko pomiędzy rządami, lecz także pomiędzy dwoma narodami. Historja nas uczy, że Madziarzy, nawet w najcięższych chwilach istnienia swego narodu i państwa, ujawniali zawsze dziwnie trafny zmysł polityczny. Będąc narodem namiętnym, obdarzonym temperamentem gwałtownym — umieli oni, gdy zachodziła tego potrzeba, działać z chłodną rozwagą, umieli liczyć się z rzeczywistością, oraz mając zawsze na względzie cele dalsze — umiejętnie wyzyskiwać okoliczności, któreby im pozwoliły należycie je zużytkować na swoją korzyść. Mieli oni też zawsze wybitnych mężów stanu.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że obecny moment historyczny jest jednym z najcięższych dla nich w dziejach. Nie załamują oni jednak rąk, nie roztkliwiają się nad sobą, nie stwarzają filozofji męczeństwa, nie zasklepiają się w sobie, lecz przeciwnie, rozwijają gorączkową propagandę za granicą, u siebie zaś konsolidują się, wzmacniają swoją państwowość i ciągle szukają drogi wyjścia z tych nader ciężkich warunków, w jakich się znajdują. Dotyczy to nietylko tych Madziarów, co zamieszkują tak strasznie zmniejszone państwo Węgierskie, lecz tych także, co pozostali w Siedmiogrodzie oraz innych prowincjach, które przeszły do państw obcych. Wśród Madziarów siedmiogrodzkich, a raczej wśród wybitnych ich działaczy politycznych, powstała myśl płodna i wielka, mająca ogromną przyszłość i mogąca stać się donioslym czynnikiem politycznym w Europie środkowej i Wschodniej. Mam tu na

---

tach przyszłych jest wojsko narodowe i skarb narodowy.

Irlandja jest państwem *par excellence* morskiem.

Rozwój floty wojennej i floty handlowej leży na linji wzmożenia potęgi Irlandji. Konferencja Waszyngtońska ma jakoby redukować morskie zbrojenia mocarstw...

Tymczasem na lat 5, zgodnie z artykułem VI-ym Umowy, Irlandja jest zabezpieczoną na morzu przez *His Majesty's Imperial Forces*. Wprawdzie powiedziane jest, iż tylko w oczekiwaniu na wspólne uzgodnione zarządzenia rządu Irlandzkiego z rządem angielskim, w rezultacie których państwo Irlandzkie podejmie samodzielne zabezpieczenie swych granic morskich, t. j. brzegów, flota Imperjum czuwa... Dodajmy skwapliwie: czuwa nietylko nad bezpieczeństwem brzegów Irlandji....

Bo oto artykuły VII i VIII Umowy dokładnie precyzują, jaką pomoc i jakie ułatwienia ma okazywać Irlandzkie Wolne Państwo pobożnym zbrojnym siłom Jego Cesarskiej Mości. W czasie pokoju wojska angielskie, jak lądowe, tak morskie, mają prawo wylądowania, zapewne również i urządzania manewrów w Irlandji, oczywiście za każdorazową zgodą obydwu rządów. Natomiast w okresie wojennym, lub „wrazie naprężonych stosunków z obcemi mocarstwami, co dla równowagi europejskiej najciekawsze", Rząd Brytyjski może domagać się od rządu Irlandji „wszystkiego, co uzna za stosowne dla celów obrony".

Oczywiście w oczekiwaniu, a przedewszystkiem dla zabezpieczenia istotnego rozbrojenia lub ograniczenia zbrojeń międzynarodowych, Rząd Irlandzki ustanowi i będzie podtrzymywać u siebie w kraju „*narodową siłę zbrojną*", *która winna być w takim stosunku do siły zbrojnej Wielkiej Brytanji, z jakim pozostaje liczbowo ludność Irlandji do ludności Wielkiej Brytanji.*

Niezwykle ciekawe obliczenia „tych proporcji" nieprędko ujawnione zostaną dla publicystów kontynentu.

Artykuł V Umowy zaznacza lojalny udział Irlandzkiego Państwa w finansowych zobowiązaniach Rządu Wielkiej Brytanji, oraz określa obowiązki płatnicze renty inwalidzkiej i ubezpieczeń żołnierzy z ostatniej wojny.

Artykuły: IX i X mówią o wolności handlowej portów obydwu państw, oraz określają obowiązki urzędników państwowych narodowości nie angielskiej z Irlandji. Co do policji i wzmocnionych oddziałów polowej żandarmerji, to członkowie obydwu tych „ciał" z Irlandji przez dwa lata jeszcze będą na utrzymaniu Rządu Angielskiego.

Poczynając od XI artykułu umowy, wszystkie pozostałe siedem dotyczą terytorjalnego roz-

myśli plan unji pomiędzy Węgrami a Rumunją, unji, opartej na wspólnej dynastji panującej. Wedle tej koncepcji politycznej Węgry stać by się miały monarchją, a tron węgierski dostałby się dynastji rumuńskiej. Narazie rokowania w tej sprawie, prowadzone parokrotnie, zrywane i nawiązywane ponownie, nie doprowadziły jeszcze do wyników pozytywnych i rozbiły się na punkcie spraw wojskowych.

Rozważmy teraz ten pomysł unji węgiersko-rumuńskiej. Otóż zgóry zaznaczyć muszę, że pomysł jej opiera się na zupełnie realnych podstawach, gdyż na interesach wspólnych. Tym wspólnym interesem jest niebezpieczeństwo rosyjskie. Istotnie, Rosja nie godzi się na utratę Besarabji, Rumunja szukać musi sojusznika, ma go w Polsce, z którą zawarła umowę, nie wystarcza to jednak; dla Węgier niebezpieczeństwo rosyjskie jest bardzo duże, gdyby bowiem Rosja usadowiła się w Besarabji i Bukowinie, gdyby zagarnąć miała Galicję Wschodnią, wówczas byłyby one zagrożone w swym bycie. Pomimo więc antagonizmu do Rumunji, nie leży w interesie Węgier rozbicie jej przez Rosję i zbliżenie się tej ostatniej do ich granic. Z drugiej znowu strony, dla Węgier unja z Rumunją oznacza: 1) większe bezpieczeństwo od strony północnej, zachodniej i południowo zachodniej, t. j. od Czecho-Słowacji, Austrji i Jugosławji; 2) zmianę polityki Rumunji w stosunku do Madziarów w Siedmiogrodzie.

Dla Rumunji unja z Węgrami oznacza bezpieczeństwo na Zachodzie, możność skoncentrowania sił swych na wschodzie, celem obrony przed inwazją rosyjską. Armja węgierska jest doskonałą, czego nie można powiedzieć o armji rumuńskiej. Państwo węgierskie, obecnie liczące dwa razy mniej mieszkańców od rumuńskiego, jest, mimo wszystko, militarnie, administracyjnie, kulturalnie i politycznie silniejsze od niego.

Unja Węgier z Rumunją zapewniłaby Madziarom duży wpływ w tem połączeniu państwowem, nie zagrażałaby jednak Rumunom ich przewagą, wobec liczebności tych ostatnich.

Dlatego też uważam myśl unji węgiersko-rumuńskiej za zdrową. Prawda, urzeczywistnieniu jej stoją na przeszkodzie uczucia i namiętności, ale mogą być one przezwyciężone. Można też wątpić w przyszłość unji wogóle, jako formy połączeń państwowych, ale i tu możnaby wprowadzić pewne inowacje, nieznane w tego rodzaju połączeniach, a potrzebne dla utrzymania całości. Zresztą, nie bądźmy znowu tak wymagającymi i nie mówmy o unjach, obliczonych na wiele stuleci, lecz rozpatrujmy sprawę unji węgiersko-rumuńskiej, jako związek potrzebny dla stron obu w pewnym okresie dziejowym, nie przesądzając tego, co będzie później.

Unja taka dla Polski miałaby olbrzymie znaczenie właśnie z tego względu, że stanowiłaby ona przeciwwagę Rosji o wiele silniejszą od państw bałkańskich, oraz od tych, których niema a które mają jakoby dopiero powstać. Następnie dopiero przystąpienie Węgier do unji z Rumunją wzmocniłoby nasz związek z nią. Sojusz nasz z Rumunją jest dziełem kilku dyplomatów i nie cieszy się sympatją wśród jej obywateli. Wiemy bowiem, że kiedy niedawno pewien poseł w parlamencie rumuńskim wystąpił nader ostro przeciwko sojuszowi z Polską — nikt w obronie tego sojuszu nie wystąpił. Wiekowy i przyjazny nasz stosunek do Węgier jest zupełnie inny, niż do Rumunji i dlatego, gdyby powstała unja węgiersko-rumuńska, to unja taka napewno byłaby silniej związana z nami, niż sama Rumunja obecnie.

---

graniczenia Południowej i Północnej Irlandji. Południowa Irlandja z Dublinem tworzy dziś właściwie owo wzmiankowane w Umowie Niezależne Państwo: (*Irish Free state*). Północna Irlandja (Ulster z Belfast'em) za miesiąc dopiero określi, czy wejdzie w skład Irlandzkiego Państwa, czy też pozostanie związana Unją 1800-go roku z Anglją.

Sądząc z toku rokowań w latach 1914, 1916, 1917 i ostatnio z 1920 roku, Północna Irlandja długo jeszcze pozostanie starganą struną w srebrnej harfie Erinu.

* *

W naszej publicystyce rozpanoszył się zwyczaj porównywania kwestji Ulsteru, czyli t. z. Północnej Irlandji, z kwestją Wilna w zagadnieniu Litwy Kowieńskiej. Pomijam już zupełną różnorodność tematów pod względem religijnym i ekonomicznym. Chodzi mi o tę krzywdę, który wyrządzamy naszej przeszłości. Odpowiednio urabiany przez Amerykę i Niemcy, ujrzy przeciętny „kosmopolita" owo morze nieludzkich cierpień, zadawanych ręką zdobywców od 1167 roku... w dolinach Kowna, gdzie powstał ów najcudniejszy polski poemat, „Pan Tadeusz".

Irlandzka kwestja dużo ma wspólnego z kwestją Ukrainy (Kozaczyzny) w dziejach szlacheckiej Rzeczypospolitej. Dużo może mieć również elementów podobnych zagadnieniu Śląska, Gdańska i Pomorza.

Lecz jedno jest jasne i bezsporne: Polska w historji swoich unji państwowych zawsze głosiła wolność, równość i braterstwo narodów. Nie możemy tego powiedzieć o aktach państwowych, zawierających unje, Wielkiej Brytanji.

Zaledwie gaśnie krwawa łuna ostatniego zatargu narodowościowego w Europie, gdy w Afryce i w Azji, w kolonjach Wielkiej Brytanji, rozpala się hindusko-egipski pożar. Oby XX wiek cały nie gasił tego pożaru krwią swych najlepszych synów!

* *

W chwili gdy piszemy ten artykuł już dwa parlamenty „ratyfikowały" umowę. Westminster i *Dail Eirean* wypowiedziały swą zgodę. Pozostaje parlament w Belfast...

Anioł pokoju z dalekiego Waszyngtonu roztoczy swe skrzydła potężne i nad portowem miastem Północnej Irlandji, a srebrna harfa Erinu, gdy w niej zadrga 18 strun, świeżo nawiązanych w Londynie, na wieki utraci jęk skargi i płacz niewolników.

M. Dąbrowski.

Polska w sojuszu z Węgrami i Rumunją stanowiłaby już nader poważną siłę w stosunku do Rosji, a jakkolwiek państwa te, połączone sojuszem, razem miałyby nieco mniej, niż 50 miljonów ludności, podczas gdy ona miałaby prawie trzy razy tyle, to jednak, biorąc pod uwagę inne okoliczności, jak cofnięcie się jej wstecz pod względem technicznym, przemysłowym, kulturalnym oraz ogólny jej rozstrój — śmiało twierdzić można, że połączone siły trzech wymienionych państw mogłyby przez czas dłuższy stawiać czoło rosyjskiemu imperjalizmowi. A skoro tak, to dyplomacja nasza nie powinna czekać, aż ta unja węgiersko-rumuńska sama przyjdzie do skutku, lecz wziąść tę sprawę w swoje ręce i wystąpić z odpowiednią inicjatywą.

Aby to uskutecznić jednak, zerwać trzeba z dotychczasową błędną zupełnie i nieuzasadnioną taktyką wobec Węgier, z którymi łączy nas tyle nici sympatji, z którymi mamy interesy wspólne. Polityka wyżej wskazana da się doskonale pogodzić z tak potrzebnym dla nas sojuszem z Francją.

Ludwik Kulczycki.

TAKE JONESCU.

Powołanie na stanowisko premjera Rumunji dotychczasowego ministra spraw zagranicznych, p. Take Jonescu, jest wielkim tryumfem osobistym i — dawno upragnionem, ale stale przez rzesze oponentów unicestwianem — ukoronowaniem bujnego, w burzliwe perypetje obfitującego żywota - wybitnego męża stanu. Niewiadomo, czy uda się nowemu premjerowi zwalczyć falę nienawiści, uderzającą w jego osobę, czy zdoła on zwiększyć nieliczną — jak obecnie — garstkę zwolenników partyjnych i przetworzyć parlament rumuński na powolne narzędzie swoich zamiarów politycznych. Zadanie będzie trudne. Nie brak pesymistycznych horoskopów. Opozycja szykuje się do zaciętej walki.

Jakikolwiek będzie wynik tych zapasów, nic nie zatrze wrażenia świetnego sukcesu ministra, który — wbrew arytmetyce parlamentarnej i naprzekór nienawistnym kalumnjatorom — dosięgnął najwyższej godności, zapewniającej mu w każdym razie głos w Radzie Koronnej, decydującym organie polityki rumuńskiej. Warto się tedy przypatrzeć dziejom życia p. Take Jonescu, tem więcej, że liczne publikacje związane z wojną światową, zawierają szereg dokumentów, oświetlających tę niezwykłą karjerę.

Niezwykłą przedewszystkiem pod jednym względem. P. Take (właściwie Dimitrie) Jonescu zawdzięcza wszystko sam sobie. W przedwojennej, bojarskiej Rumunji rządziły dynastje polityków. Tylko nazwisko lub bogactwo predestynowało do zajęcia kierujących stanowisk. Nieznani i ubodzy musieli zadowolić się rolą satelitów czy klientów możnego protektora.

Jonescu pochodził z rodziny małomieszczańskiej z Ploesci. Nosił nazwisko, należące do najbardziej rozpowszechnionych i typowych w Rumunji: ot taki Meyer czy Müller, bez tradycji rodowej, bez majątku i koligacji z miarodajnemi czynnikami w państwie. Atoli zajaśniał odrazu zdumiewającemi zdolnościami. Zdolności były jakgdyby rodzinne; dowodem jego bracia, wszyscy — ludzie wybitni: jeden był dyrektorem szkoły nauk politycznych w Bukareszcie, drugi reprezentował Rumunję w Lizbonie, trzeci — Tomasz — zasłynął jako chirurg i wynalazca nowych metod anestezyjnych.

Take ukończył studja prawnicze w Paryżu. Wychowanie francuskie wycisnęło na jego umysłowości niezatarte ślady, budząc entuzjazm dla kultury i języków romańskich i przeciwstawiając jego zamysły poglądom działaczy rumuńskich, wykształconych w Wiedniu lub w Berlinie. W stolicy Francji nabył nasz polityk świetnej znajomości języka francuskiego i rozwinął wrodzone dary krasomówcze. Wymowa utorowała mu drogę do powodzenia w zawodzie adwokackim i umożliwiła zdobycie mandatu poselskiego w niezwykle młodym wieku.

Jako dwudziesto-sześcio letni młodzieniec, w r. 1884, zasiadł Take Jonescu w parlamencie bukaresztеńskim. Były to czasy uproszczonej polityki partyjnej, przypominającej przedwojenną Anglję lub — poczęści — Szwecję. Rządy przechodziły kolejno z rąk konserwatystów do rąk liberałów i naodwrót. Dwa tylko stronnictwa posiadały wpływy.

Trzeba się było decydować, nie nadeszła jeszcze bowiem pora samodzielnej akcji. Jonescu — bez głębszego zresztą przekonania — przystał do liberałów, aby ich w krótkim czasie i nazawsze opuścić. Wśród liberałów ma też do dnia dzisiejszego najniebezpieczniejszych wrogów.

Dzięki poparciu partji konserwatywnej rozpoczyna się ministerjalna karjera Takego. W latach 1891—1895 piastuje tekę ministra oświaty i wyznań, zarządza resortem finansów w latach 1899—1900, wraca do tego samego działu w gabinecie Cantacuzina (1904—1907), wreszcie rządzi sprawami wewnętrznemi w koalicyjnem ministerjum Majorescu (1912—1913).

Historja współczesnej Rumunji zapisała wiele pierwszorzędnych czynów politycznych p. Jonescu jako ministra. Pomijam jego inicjatywę w zakresie reformy szkolnictwa i uzdrowienia finansów; przypomnę tylko zręczne uzyskanie od Turków uznania Macedo-Rumunów za odrębną narodowość w r. 1905 i — szczerym duchem demokratycznym owianą — interwencję podczas groźnych zamieszek agrarnych w r. 1907.

Do decydującego wpływu dochodzi p. Take Jonescu w gabinecie Majorescu, utworzonym pod wrażeniem wybuchu wojny bałkańskiej. Chociaż nazewnątrz zajmuje się sprawami wewnętrznemi, w rzeczywistości poświęca główną uwagę i całą energję kierownictwu polityką zagraniczną. Już wówczas — zresztą za zgodą austrofilskiego premjera i z wiedzą króla Karola — przeciwdziała zamiarom Austrji, sprzyjając Serbji i Grecji, a podważając zapędy zwycięskiej Bułgarji. Zawarte w r. 1883 przymierze Rumunji z blokiem austro-niemiecko-włoskim straciło wszelką praktyczną wartość w interpretacji ministra, który, zachowując lojalne pozory, niestrudzenie niweczył każdy wrogi Serbom krok dualistycznej monarchji.

Na niczem się skończyła misja Conrada-Hötzendorffa do Bukaresztu i żadnego rezultatu

nie wydała podróż zaufanego doradcy arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, Riedla. Take Jonescu szukał oparcia w Londynie i w Paryżu, gdzie odbył decydujące — także dla przyszłej orjentacji Rumunji—rozmowy z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych, późniejszym prezydentem Republiki, Poincarem.

Pokój w Bukareszcie, w wyższym zaś jeszcze stopniu pokój turecko-grecki, zawarty w Atenach w listopadzie w r. 1913, przy pośrednictwie p. Take Jonescu, okrył go zasłużoną sławą i wprowadził na arenę polityki europejskiej jako jednego z jej najruchliwszych protagonistów. Kierunek przyszłych sojuszów Rumunji był już wytknięty. Nie był to kierunek upragniony przez króla Karola i przez konserwatystów z pod znaku Carpa.

Wybuchła wielka wojna. Take Jonescu stał zdala od rządu. Był tylko szefem szczupłej, niedawno zorganizowanej (w r. 1908) trzeciej partji, którą nazwał konserwatywno-demokratyczną i chciał zużytkować jako klin do rozbicia dwóch dawnych stronnictw, zagarniających zachłannie rządy z wyparciem wszelkich innych czynników politycznych. Niemniej głos twórcy pokoju w Bukareszcie rozbrzmiewał donośnie i znalazł posłuch u większości narodu.

Take Jonescu bezwzględnie, bez osłonek i z potęgującą się natarczywością zaatakował obowiązujące jeszcze porozumienie Rumunji z Austrją i Niemcami i wzywał do świętej wojny po stronie Francji i Anglji. Upadał pod nawałem pracy. Dzień w dzień pojawiały się jego płomienne artykuły na łamach „La Roumanie", niemal codziennie słuchano jego mów na publicznych meetingach lub w zamkniętem kole klubowych zwolenników. Propaganda antyniemiecka, rozwinięta przez szefa partji demokratycznej i podsycana przez — pojednanego z nim po wielu latach — konserwatystę Nicu Filipescu, miażdżyła bez pardonu wysiłki ambasady niemieckiej i wyśmiewała niedołężne posunięcia dyplomacji austrjackiej. Wreszcie odniosła zwycięstwo.

Take Jonescu wciąż nie brał udziału w rządach, do których się zgłosił dopiero w momentach klęski, po zagarnięciu przez wroga dwóch trzecich kraju, na wygnaniu w Jasach. Jestto może najpiękniejsza karta jego działalności, to odważne ratowanie resztek rozgromionej armji, to głoszenie konieczności wytrwania w raz obranym obozie, to uporczywe powtarzanie (może nawet wbrew nadziei), że tryumfy Mackensena zapadną się w nicość, a dla Rumunji przyjdzie dzień żniwa i radości.

Na posterunku ministra w zachwianym gabinecie Jana Bratianu przeżył Jonescu chwile gorzkie i ciężkie. „Potępieńcze swary" podzieliły patrjotów, szukających schronienia w dawnej stolicy Mołdawji, a opinja znękanej armji i zniecierpliwionego narodu — opinja zręcznie kierowana przez obóz Marghilomana i przez ajentów niemieckich — wskazywała na Takego jako na głównego sprawcę nieszczęścia. Mimo wszystko przetrwał na raz zajętem stanowisku i niezmiennie protestował przeciw próbom zawarcia odrębnego pokoju.

Pokój ten jednak zawarto, a osamotniony ze swem zdaniem minister musiał iść na banicję, wygnany rozkazem zwycięskich generałów niemieckich.

W Paryżu—w miesiącach wznowionych ofensyw Ludendorffa na froncie zachodnim—Jonescu pomnaża liczbę reprezentantów narodów podbitych przez oręż Wilhelma. Stanął na czele Komitetu Narodowego Rumuńskiego i przygotował grunt do wywalczenia rewindykacji rumuńskich w traktatach spisanych w Wersalu i St. Germain.

Był więc „magna pars" w tych wszystkich wypadkach dyplomatycznych, jakie dokonały się po rozgromieniu państw centralnych. Wziął także czynny udział w obmyśleniu i przeprowadzeniu doniosłych reform wewnętrznych, zmieniających niemal doszczętnie ustrój państwa rumuńskiego. Wreszcie prowadził dalej prace nad pacyfikacją wschodniej Europy już w charakterze oficjalnym jako minister spraw zewnętrznych w gabinecie generała Averescu.

Na tym ostatnim posterunku rozwinął owocną akcję, uwieńczoną kilku ważnemi rezultatami. Jego dziełem jest zawiązanie Małej Ententy i zawarcie sojuszu z Polską, jego staraniom zawdzięcza Rumunja uznanie dezaneksji Besarabji przez mocarstwa zachodnie (w październiku 1920 r.)

Można osądzać plany i czyny p. Take Jonescu z rozmaitych punktów widzenia. Nie brak surowej krytyki, nie brak nawet ciężkich zarzutów, wysuwanych przez przeciwników partyjnych z brutalną bezwzględnością, do której oddawna przywykło życie polityczne w Rumunji. Niepodobna przecież nie uznać, że zdolnościami, wytrawnością i energją wybił się na czoło wszystkich działaczy kierujących polityką zagraniczną w państwach wschodniej Europy. Tylko chyba p. Benesz — raczej szczęściem niż szerokością horyzontów — zdaje się mu w pewnej mierze dorównywać. Polska zaś napróżno i oddawna czeka na ministra spraw zewnętrznych, któryby wykazał podobną inteligencję, ruchliwość i zręczność i któryby umiał sobie wywalczyć podobny rozgłos i powagę w opinji społeczeństw zachodnich.

Niezrównane są zalety reprezentacyjne nowego premiera: błyskotliwa wymowa, dar towarzyski, uprzejmość i giętkość, jednające mu zastępy zwolenników za granicą. Doskonały zmysł orjentacji idzie w parze ze sprytem, niemal przebiegłością. Długie lata oficjalnych lub prywatnych zabiegów dyplomatycznych wyrobiły w nim poczucie taktu, rutynę i zdolność przystosowywania się do każdej nowej kombinacji światowej. Do tego przyłączają się rozgałęzione stosunki towarzyskie, wiążące go niemal z wszystkiemi ważniejszemi osobistościami na Zachodzie, o czem przekonać się łatwo chociażby z ogłoszonych przez niego, bardzo ciekawych „Souvenirs" (Paryż, Payot 1919).

Take Jonescu przejrzał nawylot tajniki jednania sobie sympatji, niezbędne przy dzisiejszych postępach demokracji. Rozumie znaczenie prasy i korzysta z niej dla popularyzowania własnych planów politycznych. Zresztą sam od lat praktykuje w zawodzie dziennikarskim i zasila własnym piórem organy sobie oddane.

Rzecz prosta: nie jest nieomylnym i nie zawsze osiąga zamierzone wyniki. Ścisła solidarność Francji i Anglji, którą w r. 1920 ogłaszał za fakt nieulegający wątpliwości i za podstawę wszelkich nowych wydarzeń polityki światowej, przechodzi różne koleje, bynajmniej niezgodne z horoskopami rumuńskiego ministra. Stawianie na kartę

Venizelosa — stały gest Takego — okazało się zawodnem zwłaszcza wobec odmiennej taktyki królowej rumuńskiej. Nakoniec i Polska — przynajmniej dotychczas — nie okazała gotowości wstąpienia do Małej Ententy, mimo namów p. Jonescu, który konsekwentnie tego się od niej dopomina, ostatnio w artykule zamieszczonym w październikowej „Revue de France“.

Życzliwość premjera rumuńskiego dla państwa polskiego wytrzymała próbę w okresie najazdu bołszewików na Warszawę. Pogląd na kwestję Galicji Wschodniej łączy go z Warszawą, oddziela zaś od nieszczerego oblicza czeskich polityków. Bajką jest rzekome uleganie podszeptom p. Benesza, któremu daleko jeszcze do doświadczenia i wpływów wytrawnego kolegi z Bukaresztu.

Dla Polski fakt utrzymania się przy rządach p. Take Jonescu uznać należy za pomyślny. Za dowód trafnej intuicji trzeba też policzyć naszemu ministrowi w Rumunji p. Aleksandrowi Skrzyńskiemu, że umiał dość wcześnie — i to w chwili beznadziejnych zdawało się widoków męża stanu rumuńskiego—przeczuć jego zbliżającą się gwiazdę, wejść z nim w przyjaźń serdeczną i przez to samo już poniekąd zjednać dla celów polityki polskiej.

St. Wędkiewicz.

WIELKA KLĄTWA.

Przejawem utrapień zawisłych nad inteligencją jest dziś zatracenie szacunku dla zgasłych postaci narodowych. Nikt nie sypie myrry na ich szczątki śmiertelne, nikt nie pali kadzideł u stóp katafalków. Dowodem zagłady czci w razie zetlenia się wielkiej pochodni, -- to brak przeraźliwy wstrząsu w społeczeństwie, owej fali uczuć, która poprzednio jednym wyciskała łzy z oczu, drugich za serce chwytała, a wszystkich przejmowała dreszczem. Smutek zewnętrzny czy wewnętrzny, spazm głośny lub cichy świadczył jednak, że jesteśmy narodem wdzięcznym, kulturalnym, mimo wszelkich zakazów i nakazów, tudzież niewolniczej tresury. Zwłaszcza tam, gdzie wolno było zostać kapłanem i wajdelotą ziemskiego prochu, zdobywaliśmy się na gest wspaniały i na coś jeszcze więcej, co nawet obojętnego rzucało na kolana. Kto nie pamięta cudownych misterjów Krakowa w czasie nastrojowych obrzędów? Kto zapomniał o kondukcie Kraszewskiego na Skałkę, o tych tłumach, wszystkich stanach, o liściach suszonych z napisem: „pomnikiem jego będą dzieła jego; uczczeniem zasług będą nasze czyny“... Albo o funeraljach lirnika mazowieckiego, gdy młodzież darła w kawały ciemno-czerwone sukno, zakrywające trumnę Lenartowicza, aby je przycisnąć do warg i relikwją schować w domowym zakamarku. Albo procesją zwłok Matejki na cmentarz rakowicki w obliczu mas zbolałych, mas, które za rydwanem widziały wizją Rejtanów, hołdu pruskiego, unji lubelskiej, Stańczyka... Nie mówiąc nic o pogrzebach Mickiewicza i Wyspiańskiego... Z tym Krakowem szła cała Polska, jak szeroka i długa, nie fizycznie ale symbolicznie, choćby w postaci gałązek smereku, cedru, żałobnego kwiecia, niesionego zoznaczeniem miejsca pochodzenia.

Tak bywało *illo tempore.*

Chociaż w minionych czasach krzywdzono wybitnych pisarzy, chociaż Goszczyński wytrącił namiętną, dziecinną krytyką, pióro z ręki Fredry, chociaż Lindego pomawiano o wynajęcie ludzi do ułożenia słownika i Kolbergowi dano zginąć w nędzy, chociaż setki dzielnych umysłów sponiewierano, wszelako przynajmniej w roztwartą mogiłę sypano grudy współczucia.

Dziś?...

Wraz z rozpanoszeniem się pospolitactwa i z zamachem na inteligencję, wzrusza się ramionami na wieść o spadnięciu gwiazdy z firmamentu polskiego. Niech znikną ogniki, świecące na mrocznych przestrzeniach, niech tlen życia ulotni się, niech cały rabat kwietny zwiędnie, byle żądza rozkoszy mogła czoło opasać wieńcem i święcić tryumfy na grzęzawiskach bytu!

Przed kilku miesiącami zamknął w Warszawie oczy na zawsze August Sokołowski, wybitny działacz polityczny, długoletni poseł do wiedeńskiej Rady Państwa, znakomity historyk. Za trumną, na dworzec towarowy, szło literalnie siedemnaście czy osiemnaście osób, wśród nich ani jeden przedstawiciel wiedzy, ani jeden prasy... Później, w dziennikach, ledwie notatka reporterska.

Na obcej ziemi, w Bad Gastein, oddał Bogu ducha Tadeusz Rittner. Skon jego odbił się dziwnem echem w Warszawie w postaci płytkich wzmianek i gawęd dla zapełnienia kroniki codziennej, bez głębszego rozbioru twórczości. Tymczasem „Przegląd Warszawski“ podał w pierwszym numerze wyciągi z drobnej cząstki gazet niemieckich. Cóż za ciepło, cóż za żal, uznanie, pietyzm, wniknięcie w talent biją ze wspomnień *Berliner Local Anzeiger*, *Neue Freie Presse*, Frankfurterki i t. d. Aż rumieniec wstydu wybiega na twarz wobec naszych banalności i jednorazowego odczepnego w zestawieniu z tym obcym pokłonem przed poetą, skostniałym i zamrożonym pocałunkiem śmierci.

Z kolei — Gabrjela Zapolska.

Któż więcej, jak ona, zbierał oklasków, kto więcej zbierał pęków widomych powodzeń? Do grobu towarzyszyły jej w stolicy przeważnie krótkie nekrologi, abecadło słów, abecadło szare, bezdźwięczne, pożegnanie obowiązkowe. I gdy przez ulice Lwowa, oświetlone na znak czci lampami gazowemi, owiniętemi w kir, sunął pochód, złożony z małej względnie garści uczestników, nikt obcy nie domyśliłby się, że na wieczne odpoczywanie odprowadzają pomnożycielkę chwały narodowej, autorkę tłomaczoną na różne języki i wprowadzoną do europejskiego teatru. Ci sami ludzie, którzy zawdzięczali jej tyle przyjemnych chwil, woleli siedzieć w ogrzanej izbie lub w kawiarni.

Śmierć zabrała w Kopenhadze, 22 grudnia, Stanisława Rożnieckiego, profesora literatur i języków słowiańskich na tamtejszej wszechnicy. O wypadku przyniosła wiadomość telegraficzną „Agencja Wschodnia“ dopiero 27 nadmienionego miesiąca. I koniec.*) Rożniecki... Kto zacz? Bóg

*) Omyliłem się niestety... Już po złożeniu artykułu pojawiła się jako rzecz oryginalna w jednym znajpoczytniejszych dzienników warszawskich dłuższa no-

wiedzieć raczy.. Ano, gdyby jeszcze należało skrzypnąć piórem, aby przypomnieć smutnej pamięci generała Aleksandra, wynalazcę koszów u okien więziennych dla uniemożliwienia ucieczki ofiarom jego szpiclowskiej roboty, najtęższym patrjotom! Ale ten — w Kopenhadze... A jednak tam, nad brzegami Oeresundu, legł człowiek niezwykły, uczony dużej miary, świetny działacz, istny znicz ojczysty, jeden z *bene merentium*. Dalej tak, a o naszych znakomitościach zagranicznych dowiemy się z La Roussa, Brockhausa, Meyera lub z duńskiego leksykonu.

Niedawno zanoszono się w poczciwej Warszawie żalem gorącym z powodu śmierci młodej artystki teatralnej. Damy wzdychały, panowie wzdychali także, dzienniki dzień po dniu pisały o zgasłej aż do zmówienia „Ojcze nasz" na cmentarzu powązkowskim, nieprzebrany rój gapiów zgromadził się przed kościołem i odprowadził ciało na miejsce snu nieprzerwanego. O, jakże wątłe, małe jesteście duchy Sokołowskich, Rittnerów, Zapolskich, Rożnieckich! Czy was tu kto uczcił bodaj nabożeństwem? Chyba krótkim strzałem ze starego pistoletu, fajerwerkiem licho błyszczącym... Nie pokwapiono się w nekrologach ująć waszych nazwisk *antiquo more* w żałobne obwódki, mieliście niepłakane trumny, nie chciano waszą dostojnością płoszyć snu z oczu wygodnego pokolenia, nie chciano zmusić go do zastanowienia się nad wartością zasług i wyższości umysłowej. Są to objawy gorszące, istny paraliż sumień. Żaden bowiem naród na świecie nie rozwinie się bez padnięcia na twarz przed swoimi wybrańcami duchowymi, przed swoją twórczością i wiedzą. Jeżeli nie uszanujemy zasług żywych i umarłych, zostaniemy do reszty prostackiem zbiorowiskiem i zoologiczną kolekcją. O ileby wielka klątwa, rzucona na tuzy społeczeństwa, miała trwać dalej, powstaną piwniczne gąszcze, przez które nik nie przedze się nawet przy pomocy najwidniejszego kaganka. Trzeba głośno wołać o powstrzymanie nieszczęścia, grożącego społeczeństwu ostateczną obojętnością i wyjałowieniem, tudzież nieuchronnem spłoszeniem garstki zapaleńców, wierzących w zajaśnienie na niebie nowego słońca. Mob-motłoch wyszczerzyłby wówczas — nie daj Boże — zęby i rozśmiał się śmiechem szatańskim...

Ernest Łuniński.

II Zjazd Młodzieży Akademickiej w Wilnie.

Zjazd Wileński, w którym wszyscy pokładali wielkie nadzieje, iż zaprowadzi sanację stosunków w społeczności akademickiej i usunie niezdrowe objawy życia „ideowego", które coraz częściej poczyna w nie obfitować — zawiódł na całej linji.

Nie znaczy to, iżby nie powzięto szeregu daleko nieraz bardzo idących uchwał, owszem. Np. komisja naukowa przedstawiła przeszło sto wniosków, a te wraz z wnioskami innych komisji stanowiły wcale pokaźną sumę.

Lecz te wnioski pozbawione były ducha. Zwłaszcza zaś wnioski komisji ideowej, które były najważniejsze, były martwe i jako takie zostaną na papierze.

Przyczyną anemji tych licznych płodów jest rozdzielenie się delegatów na dwa obozy: „prawicę" oraz „lewicę" (ta ostatnia obejmowała i „centrum").

Obozy te tak zapamiętale się zwalczały, iż trudno było coś przeprowadzić, coby wychodziło poza ciasny zresztą przeważnie horyzont umysłowy tych grup, nie widzących nic poza interesem doktryny przez się reprezentowanej.

„Prawica" rozporządzała większością, taktyka więc „lewicy" polegała na takiem prowadzeniu spraw, aby tak zaszachować stronę przeciwną, iżby nie mogła powziąć uchwał w swoim duchu.

To spowodowało, iż np. sprawa weryfikacji mandatów trwała około czterech godzin a sprostowanie, oświadczenie, enuncjacje, deklaracje i t. p. nad sprawozdaniem środowiska lwowskiego zajęły około trzech kwadransy.

W tych warunkach trudno było co zrobić, na zasadnicze bowiem rzeczy nie starczyło czasu.

Przechodząc do uchwał, zaznaczę, iż omówię jedynie wnioski komisji ideowo-wychowawczej; wnioski innych komisji, podane przez prasę codzienną lub ze względu na ich fachowy czysto charakter — pominę.

W deklaracji swej komisja ideowa mówi o zmianach, jakie muszą nastąpić w duszach młodego pokolenia, wychowanego w Niepodległej Polsce.

Ciekawy jest wniosek kol. Pilata ze Lwowa, mówiący, iż polska młodzież akademicka chce wykorzystać krótki czas studjów dla pracy nad sobą. Dalej wniosek brzmi:

„W okresie przygotowawczym, kiedy młodzież akademicka na podstawie przeżyć i studjów urabiać sobie musi dopiero swój światopogląd, nie mogłaby ona bez pogwałcenia szczerości wewnętrznych przekonań decydować jako czynnik odrębny i samodzielny o konkretnych zagadnieniach polityki codziennej".

Na uwagę również zasługuje wniosek, mówiący, iż młodzież akademicka winna się powstrzymać od wystąpień i enuncjacji w sprawach polityki bieżącej.

Te i szereg innych wniosków nie stanowią jednak nic konkretnego; nie dają żadnych środków egzekutywy i dzięki temu pozbawione są wszelkiej wartości realnej.

Przyczyny tego należy dopatrywać się w składzie osobistym zjazdu: delegaci bowiem w przeważającej swej części to menerzy życia „ideowego" (czytaj politycznego).

Nie mogło więc przecież pomieścić się w ich głowach, iż winą wszystkiego złego są te właśnie organizacje, że jedynie wtedy można myśleć o naprawię stosunków, gdy znikną one z powierzchni ziemi, a młodzież, grupując się nie na podstawie wspólnoty poglądów, lecz dziedzin zainteresowania, zdobywać będzie mogła głębokie i wszechstronnie wartościowe poglądy.

Miejmy nadzieję, iż następny zjazd będzie stanowił duży krok naprzód i przyczyni się do naprawy stosunków.

J. Z.

tatka, podpisana literami T. P., będąca skrótem mego nekrologu o Rożnieckim, zamieszczonego w noworocznym numerze *Tygodnia Polskiego*, z zachowaniem nawet gdzieniegdzie właściwości stylu, bez podania wszakże źródła i autora. Fakt ten sam za siebie mówi i jest dosadnem potwierdzeniem wywodów „Wielkiej klątwy". *(Przyp. autora).*

LITERATURA I SZTUKA.

KU NOWEJ SZTUCE.

(Nieco o futuryzmie).

I.

Po wybuchu wojny wszechświatowej stało się jasnem, że stanęliśmy w Polsce na rubieży dwóch światów literackich: dawny, przedwojenny wtrącał (z konieczności) do literatury różne obce jej pierwiastki, wyczerpał swą treść i począł przeżuwać dawne nawyknienia; obok niego zaś wystąpiło, zrazu lękliwie, potem coraz pewniej i hałaśliwiej, młode pokolenie, które *szuka* nowego wyrazu dla swej sztuki. Objaw to, niewątpliwie, radosny i całkiem naturalny. Dążenie do pełni życia w Odrodzonej Polsce musiało otrzymać najwcześniejszy wyraz w literaturze. Pozostało jednak przykre, uparte a stare nieporozumienie, o którem najmłodsi nasi poeci i prozaicy chętnie zapominają: *nowy kierunek* w sztuce powstaje nie drogą rozpraw teoretycznych lub zbiorowych manifestów, ale przez *talenty* twórcze, które narzucają swe wizje i swą formę epoce. „Niechaj rzecz cała, dokonania bliska, jak piorun wprzódy zabija, niż błyska". Grupa *Skamandra* (której poświęcimy dłuższe studjum), nie zdołała dotychczas uzasadnić filjacji twórczych i ideologicznych swych członków, ale są śród niej żywe, prężne, interesujące talenty, które żyć będą i rozwijać się pod tym, czy innym sztandarem bojowym.

Znacznie gorzej jest z futurystami. Tu wolność *głosu* literackiego, od pierwszej niemal chwili, zamieniła się w wolność *ryku*, a popisy niemal cyrkowych mistyfikatorów służyć mają za świadectwo żywotności twórczej. Przypomnijmy sobie genezę ruchu.

Gdy w epoce rozkwitu symbolizmu, E. Huret zapytał Renana, co myśli o przedstawicielach „najmłodszych kierunków w sztuce", historyk pierwszych wieków chrześcijaństwa odpowiedział: „Są to dzieci, które ssą własne palce". Zamiast tej wyniosłości wielkiego pisarza, wolimy płomienną ciekawość Słowackiego, który „żadnego nie klął ruchu". Z młodych grup, cenaklów i „szkół" literackich, przesuwających się w ciągu ostatnich lat czterdziestu, wyrosło wszystko, co Francja ma dziś przedniego w literaturze. Każdy wybitny pisarz przechodził tam tresurę programową w „petites revues" i z tresury tej zabierał w dojrzałe życie twórcze zagadnienie formy, miłość literatury, umiejętność konstrukcji myślowej. To też, gdy około roku 1891 szmbolizm rozbijał się na mniejsze ugrupowania, śród których na pierwszy plan wysunęła się „Szkoła romańska" z Janem More'asem na czele, rozpoczął się w Paryżu i trwał nieprzerwanie aż do wojny bujny okres powstawania coraz to nowych szkół (niekiedy po kilka w ciągu roku), które przybierały najprzeróżniejsze, w tytule już tłomaczące swą treść, nazwy: „paroxysme" (1893), eroteryzm (1895), naturyzm (1896), jammizm (od nazwiska poety F. Jammes'a) (1897), „szkoła francuska" (1898), regjonalizm, syntetyzm (1901), somptuaryzm (1903), integralizm (1902), humanizm (1902), neo-mallarmizm (od nazwiska S. Mallarmé'go) (1904), impulsionizm (1904), neo-romantyzm (1905), unanimizm (1908), wizjonaryzm (1908), *futuryzm* (1909), prymitywizm (1909), subjektywizm (1909), „le sincérisme" (od Sincérité = szczerość) (1909), „l'intensisme" (1910), spirytualizm, różne grupy „odrodzenia", floralizm (1911), dramatyzm i symultaneizm (1912), imperjalizm (1912), dynamizm (1913), efreneizm, pluryzm, bonizm, druidyzm (1912), totalizm, patrjotyzm, wiwantyzm, serenizm i t. d. Te różne metody literackiego „ssania własnego palca" rodziły się zazwyczaj i gasły w Paryżu, rzadko przechodząc do innych krajów i nie czyniąc nikomu żadnego zmartwienia swym skonem. Zamiast jednej umarłej przedwcześnie „szkoły" powoływano do życia kilka nowych, zdobywając, bądź co bądź i utrwalając we Francji stałą a olbrzymią kulturę formy.

Śród niewielkiej ilości „nowych kierunków", które przetrwały wojnę, znalazł się *futuryzm*, który zdobył zwolenników w całej Europie dzięki świadomemu nadużywaniu trzech sposobów: potępiania w czambuł całej *przeszłości* literackiej i artystycznej; hałaśliwa, nieco cyrkowa auto-reklama; zręczna mistyfikacja, pozwalająca ludziom bez talentu uchodzić za pionierów „nowego ruchu" przy pomocy byle jakich środków. D. 20 lutego 1909 r. F. T. Marinetti ogłosił w paryskiem *Figaro* płomienny manifest futurystyczny, o którym powiedziano, że mógłby podpalić cały świat, gdyby ten świat nie został jednocześnie zalany potopem reklamowych druczków, jakich przywódca szkoły nie żałował nikomu. W historji literatury francuskiej futuryzm nie odegrał żadnej roli; natomiast zdobył pewne znaczenie w historji moralnej i politycznej Włoch. Marinetti, stanąwszy na czele grupy atystów i pisarzy włoskich, rewolucjonizował Wenecję, Medjolan, Rzym, Neapol, Florencję i Palermo. Protestował wszędzie „przeciw sztuce akademickiej, przeciw muzeom, panowaniu profesorów, archeologów i antykwarjuszów".

Marinetti nie chce, aby Włochy były wciąż cmentarzem, którego groby zwiedzają cudzoziemcy, ani też zamtuzem, do którego zwożą swe potajemne miłostki. Pragnie sławić zuchwalstwo, walkę, zdobycze przemysłu, pracę, patrjotyzm, a nawet—wojnę. Utrzymują niektórzy, że część odpowiedzialności za kampanję trypolitańską spada właśnie na Marinettiego... Wytaczano mu procesy, skazywano na areszty, kary i więzienia, co jeszcze bardziej zwiększało jego popularność. Twórczość poetycka mniej miejsca zajmowała w działalności Marinettiego; natomiast ogłaszał żarliwie manifesty lub pobudzał swych zwolenników w różnych krajach Europy, do głośnych deklaracji. Jeden z tych manifestów, wydany w Paryżu, w r. 1913, p. t. „L'Antitradition futuriste", a podpisany przez Wilhelma Apollinaire'a, zawiera taką syntezę doktryny: Zniweczenie „historji, cierpienia poetyckiego, snobich egzotyzmów, kopjowania w sztuce, składni (potępionych już w użyciu we wszystkich językach), przymiotnika, punktacji, harmonji drukarskiej, czasów i osób czasownikowych (zastąpionych przez tryb bezokoliczny), orkiestry, formy teatralnej, wzniosłości

artystycznej, wiersza i strofy, krytyki i satyry, intrygi w opowieści i nudy". Zamiast tych przeżytków futuryzm obiecuje: „wznawiane wciąż techniki pisarskie, czystą literaturę (wyrazy na wolności, wynajdywanie wyrazów), czystą plastykę (pięć zmysłów), ciągłość i jednoczesność (w przeciwstawieniu do cząstkowania i podziału), tworzenie, inwencję, proroctwo, opis naśladujący dźwięk, muzykę całkowitą, sztukę szmerów i zgiełku, mimikę powszechną i sztukę świateł, maszynizm, poliglotyzm, czystą cywilizację, nomadyzm epiczny, eksploratoryzm miejski, sztukę podróży i przechadzek, zerwanie z wdziękiem, bezpośrednie wzruszenie wobec wielkich, wolnych widoków, intuicję (szybkość, wszędybytność), książkę przez życie chwytane na gorącym uczynku (to jest filmowane), wyobraźnię bez więzów, onomatopee raczej wyszukane niż naśladowane, taniec-pracę czyli czystą choreografję, wysłowienie lotne (charakterystyczne, wywierające wrażenie, śpiewane, gwizdane, tańczone, wyrażone w mimice, chodzie lub biegu), prawo narodów i nieustanną wojnę, feminizm całkowity czyli nieskończone zróżniczkowanie płci, transcedentalizm fizyczny, podobieństwa i kalambury i t. d."

Oddźwięk manifestów futurystycznych był tak znaczny, że ich autorowie, zamiast potwierdzać swe teorje dziełami, wysilali się na coraz nowe zapowiedzi publiczne. Oto np. najważniejsze proklamacje futurystów przed wojną: „Zabijmy blask księżyca" (kwiecień 1909) przez Marinettiego; „Manifest malarzy futurystycznych" (11 kwietnia 1910) przez Boccioni, Carrà, Russolo, Balla i Severini; „Przeciw Wenecji paseistycznej" (27 kwietnia 1910) przez Marinettiego, Boccioni, Carrà i Russolo; „Manifest muzyków futurystycznych" (maj 1911) przez Pratella; „Przeciw Hiszpanji paseistycznej" (ogłoszony w „Prometeo" w Madrycie, czerwiec 1911) przez Marinettiego; „Manifest kobiety futurystycznej" (25 marca 1912) przez Walentynę de Saint-Point; „Manifest techniczny rzeźby futurystycznej" (11 kwietnia 1912 r.) przez Boccioni'ego; „Manifest techniczny literatury futurystycznej" (11 maja 1912) przez Marinettiego; „Suplement" do tegoż manifestu (11 sierpnia 1912) przez Marinettiego; „Manifest futurystyczny Rozkoszy" (11 stycznia 1913) przez Walentynę de Saint-Point; „Sztuka hałasów" (11 marca 1913) przez Russolo; „Wyobraźnie bez więzów i wyrazy na wolności" (11 maja 1913) przez Marinettiego.

A dzieła futurystów? O nich dotychczas, to jest po kilkunastu latach wytężonej „sztuki hałasów" nie mówi się jeszcze na serjo. Pierwsze utwory Marinettiego, po za sztucznym doborem wyrazów zbijających z tropu, miały jeszcze rozpęd i nie unikały sensu. W latach następnych całą energję wytęża Marinetti na manifesty, a dzieła, jakie wypuszczają futuryści są zazwyczaj żałosne, bo nawet śmiechu nie są wstanie wzbudzić. „Wyrazy na wolności" pociągają najwięcej tych, którzy w dowolnym bełkocie odnajdują rację pisania. Mistyfikatorzy futurystyczni zasłaniają się najczęściej zapewnieniem, że na to, aby odczuć piękno ich utworów, należy najpierw wyzbyć się wszelkich przesądów tradycji, zaśniedziałej kultury literackiej, całego „głupstwa" klasycyzmu, romantyzmu, symbolizmu i innych starych izmów. Nie trudno zrozumieć, że ulegają w tem bolesnemu złudzeniu, w jakie nieraz już w historji literatury stroiła się *niemoc twórcza*.

Wielka wojna w dziedzinie moralnej nie zdołała zmienić zasadniczego problematu ludzkości. Problemat ten, zarówno dziś, jak dawniej, brzmi tak: w jaki sposób zniszczyć zwierzę, które tkwi zarówno w głębi jednostek, jak w głębi całych narodów? Zło jest pierworodne, związane z naturą ludzką, więc całkowicie usunąć się nie da. Wysiłki ludzkości zmierzać mogą dalej do zmniejszenia jedynie tego zła, t. j. muszą *oswajać* zwierzę ludzkie drogą wychowania i oddziaływania społecznego. W dziedzinie artystycznej wojna zaniosła do najdalszych krajów to, co bywało dotychczas przywilejem najbardziej wytężonych kultur: nieugaszoną tęsknotę nowego wyrazu, nowych form.

Zobaczmy, jakie ma związki z tą tęsknotą futuryzm polski.

Jan Lorentowicz.

WIDMO.

Idę, Ocean równi szarej
Przede mną w bezmiar się rozszerza,
Ujęty w krańce widnokręgu,
Jako w dalekich snów wybrzeża.

Idę, a za mną bezgłośnie
Widmo się sunie,
W krwawej zachodów łunie
Rośnie — zakrywa przestrzeń — rośnie —
Widmo przeszłości — strzyga
Krok w krok
Ściga...
Strząśnięty z serca mrok
Oto się skupił i spostacił
I idzie za mną przeszłość grzeszna,
Którą myślałem, żem zatracił.

O, ta ucieczka ma pośpieszna,
O, ta ucieczka nadaremna!
Idzie ponura, nieodstępna
Ta postać ciemna.
Nieubłagana i kamienna
Idzie ta przeszłość nieodmienna!

Odwracam się ku widmu twarzą —
Chcę się z niem zmierzyć — nie naciera,
Zwolna się cofa w tył!
Czyż nie odpędzą, nie przerażą
Ciebie te stosy bryl?
Te dobrych czynów mych kamienie
Dłoń, co stworzyła je, pozbiera,
Usypię mur, wysoki mur —
Kamienie czynów mych węgielne
Pomiędzy mną a tobą staną
I twe oblicze skazitelne
Zakryją ścianą.

Rzucam kamienie,
Rośnie mur,
O jeszcze, jeszcze!
Z twych oczu—dwóch bezdennych dziur
Wyłażą gady dwa złowieszcze
I świszczą, świszczą...
Nie mogę patrzeć w twoje oczy,
Tam grzech mój krwią zczerniałą broczy...
Granity czynu mnie oczyszczą —
O rośnij, ściano!

Widać już tylko łeb widziadła,
Jeszcze kamieni, jeszcze szereg,
Kres umęczenia, kres rozterek...
Tak wykończenia serce łaknie...

Kamieni braknie!..

Głowa się wspięła i przypadła
Do muru — wsparła na krawędzi,
Nad nią kołysze się ogromna,
Nieodwołalna, wiekopomna,
I już się przed nią nie opędzi
Wzrok mój przykuty;
Kiwa się, śmieje się szyderczo,
Kosmate grzywy w niebo sterczą
I strasznie czarna twarz się kurczy.
Wysuwa język swój jaszczurczy
I zgina w hak.
I zgrozą ślepi na mnie zieje,
I wciąż się śmieje, śmieje, śmieje...
. . . .
Kamieni brak!

Hanna Zahorska (Savitri).

KRYZYS TEATRALNY.

Ustaliło się słusznie przekonanie, że teatry polskie w głównych ośrodkach miejskich Rzeczypospolitej przechodzą obecnie ostre przesilenie i że stoją wobec nieuniknionego kryzysu w najbliższym czasie. Przyczynę tego przesilenia przypisywano sytuacji ekonomicznej, w jakiej znalazły się teatry. Olbrzymie gaże (które zresztą a priori u progu sezonu kontraktami spowodowały automatycznie dalszy wzrost drożyzny), niepomierne koszta wystawy i kostjumów, konieczność podniesienia do najwyższych norm ceny biletów — oto drogi, któremi dążyła myśl kalkulacji finansowej teatrów aż do chwili, gdy wpoprzek jej niezachwianym zamierzeniom stanęła błogosławiona dla stanu finansowego państwa, zaś katastrofalna dla wytworzonej uprzednio konjunktury teatralnej, niespodziewana i olśniewająca, jaśnieoświecona — zwyżka marki polskiej. Znakomicie obmyślana koncepcja handlowa rozchwiała się za pierwszym, zdrowym podmuchem—życia. W teatrach zapanowały—pustki. Spekulanci teatralni rozpaczliwie histerycznym gestem chwycili się repertuaru kinowego, zapominając, że różne „Kobiety, co zabijają" — naprawdę i nieuchronnie zabijają na czas dłuższy dobrą lub pozornie dobrą reputację artystyczną danego teatru. Jest to tylko do pewnego stopnia sprawa ich prywatnej ambicji jako przedsiębiorców prywatnych. Ze względu na to, że normalny teatr jest instytucją przedewszystkiem społeczną, że istnieje dla publiczności i dzięki publiczności, krytykom nie wolno w żadnym razie wczuwać się wyłącznie w kupiecką postawę przedsiębiorcy i wybaczyć mu szereg artystycznych fałszerstw, co więcej, posiadając niewątpliwy talent, świadomie i cynicznie nadużywać go dla usprawiedliwiania i obrony interesów przedsiębiorcy. O ile krytyka nie chce być białym murzynem, muszą znowu uczuć jej przedstawiciele w sobie wyłączne powołanie szermierzy duchowego dobra narodu i stać nieugięcie na straży sztuki polskiej i kultury. Nie wymiana towarzyskich usług i grzeczności musi zapanować między teatrem a krytyką, lecz ustawiczna i nieustępliwa kontrola działalności artystycznej teatru przez krytykę pod kątem widzenia wysokich wymagań tak co do repertuaru, jak i poziomu wystawiania sztuk.

Kryzys finansowy bynajmniej nie wyczerpuje długiego szeregu przyczyn obecnego przesilenia teatralnego, w którem jako momenty równorzędne wysuwają się sprawy: publiczności, niedostatecznej produkcji dramatopisarskiej polskiej, uchybienia krytyki i powszechny zanik i upadek reżyserji.

Co do publiczności to — jej istotnie niski (o ileż niższy od przedwojennej nawet przeciętności) poziom upodobań artystycznych został najbardziej cynicznie podchwycony przez przedsiębiorców teatralnych, którzy miast — w ścisłem porozumieniu wzajemnem — wytoczyć jej walkę o walory sztuki, walkę o kulturę artystyczną polską, jak najbardziej chętliwie wyzyskali i podsycili jej skłonności ku sensacjom kinowym, ku repertuarowi pikantnemu, ku wszelkiej polskiej i importowanej tandecie. W ten sposób przedsiębiorcy prywatni uczynili zamach na dusze polskiej inteligencji, odcinając ją wysokiemi cenami od teatru i izolując się tym sposobem od jej kulturalnego wpływu i moralnej presji na poziom repertuaru. Równocześnie niektórzy recenzenci rozpoczęli kampanję prasową, filozoficznie, estetycznie i społeczno-politycznie uzasadniając... konieczność spekulacji i poruszając często nawet zasłużone szczątki Lessingów, byleby usprawiedliwić prawo teatrów do wystawiania utworów... bezwartościowych. Co więcej nawet, nasza literacka kultura tak się po wojnie jakoś wynaturzyła, że nigdzie moralnie w prasie nie zlinczowano pewnej opinji, która broniąc np. reżyserji i inscenizacji w niespodzianej formie starała się przerzucić odpowiedzialność za niedbalstwo teatru na barki Wyspiańskiego za to, że pisał „mętne bruljony dramatów"... Doszliśmy więc do tego, że pewni ludzie pióra najprzejrzyściej odżegnali się od jakichkolwiek ideałów artystycznych i błyskotliwie wyelastycznili swe literackie sumienia.

W podobnych wypadkach oskarża się publiczność, że dzięki jej abnegacji sztuka Wyspiańskiego pada i sofistycznie podsuwa się myśl, że „Noc Listopadowa" to dziś, w czasach wolnej Polski, — „troszkę musztarda po obiedzie" (autentyczne wyrażenie lotnego pióra p. Hoesicka Fer-

dynanda w jego „Listach ze stolicy“, Kurjer Il. Krak. z 3.I.1922 r). A tymczasem ta sama inteligencja polska i szersze sfery, które przeszło w ciągu miesiąca zapełniały teatr im. Bogusławskiego na „D z i a d a c h“, najchętniej poparłyby wszelkie usiłowania teatru byleby, on nie profanował największego—obok Słowackiego i Fredry—twórcy polskiej poezji dramatycznej. Teatry prywatne nietylko zrezygnowały z tendencji przełamywania upodobań niekulturalnej publiczności paskarskiej, lecz wręcz je miłośnie hodują, gdyż Nowobogaccy umożliwiają im prowadzenie olbrzymiej gospodarki finansowej, wobec której upadają wszelkie niemal względy artystyczne. Przyznać należy, że teatry miejskie w Warszawie zdają sobie sprawę, iż jako placówki kultury i sztuki mają przedewszystkiem wobec polskiej twórczości zobowiązania. To też, mimo wielu zastrzeżeń natury reżyserskiej—stwierdzić należy, że w obecnym sezonie nie wyłamały się one, jak dotąd, z zasady służenia polskim pisarzom. Przedewszystkiem oczywiście dotyczy to autonomicznego teatru „Reduta“, tego fenomenu artystycznego, jakim Polskę obdarzyła bezmierna intuicja, metodyczność pracy J. Osterwy i natchniona inteligencja M. Limanowskiego. W Reducie w ciągu dwuletniego jej istnienia grano wyłącznie autorów polskich, a mianowicie: Żeromskiego, Rittnera, Orkana, Zabłockiego, Kaweckiego oraz młodych: Szaniawskiego, Chełmickiego, Katerwy, B. Hertza, zaś projektowani są: Wyspiański, Rittner oraz młodzi: K. Czyżewski i W. Rogowicz. W bieżącym sezonie w Rozmaitościach grano: St. Przybyszewskiego, M. Szukiewicza, W. Jastrzębca-Zaleskiego, K. Wroczyńskiego, wznowiono T. Kończyńskiego „Marję Leszczyńską“; M. Fijałkowskiego. Dyrektor B. Gorczyński grał w teatrze im. Bogusławskiego dotychczas: Wyspiańskiego, Korzeniowskiego, Fredrę, Mickiewicza, Or-Ota, Bunłkiewicza. Uznać należy, że dyrektor generalny Teatrów Miejskich zdaje sobie aż nadto dobrze sprawę z fundamentalnych zadań tych teatrów: popierania i krzewienia polskiej twórczości dramatycznej. Oczywiście jest to o tyle udtrudnione, że polska współczesna produkcja pisarska dla teatru jest dość nikła i trzydziestu, czy czterdziestu dramaturgów nie zdoła zapewnić stałego repertuaru tym teatrom, tymbardziej, że od czasu do czasu i zamówienia prywatnych przedsiębiorców kapryśnie żądają polskich sztuk.

Oczywiście na wzbudzenie ruchu pisarskiego i umożliwienie, przez to, teatrom poparcia polskiej twórczości, mógłby wywrzeć wpływ odpowiedni również i zdecydowany front polskiej krytyki teatralnej. Gdyby krytyka ta zaniechała biurokratyczno-oschłego traktowania teatru w formie oficjalnego celebrowania premjer, po których dorywczem omówieniu kończą się wszelkie stosunki z danym teatrem, gdyby zechciała wniknąć w tok pracy artystycznej, której finalnym jeno rezultatem, często wręcz przypadkowym, jest przedstawienie premjerowe, gdyby, słowem, ukochała teatr całą duszą i całą pasją artystyczną—teatry o wiele bardziej miałyby ułatwione zadanie w swej pracy, krytyka byłaby ich istotnym łącznikiem z publicznością, ujawniając zamierzenia i intencje. Konferencje teatralne, związek referentów teatralnych, odczyty, prelekcje przed—czy popremjerowe — oto dziedzina, leżąca odłogiem i czekająca na organizatora.

Przy tym bliskim kontakcie uniknęłoby się wielu błędów, a przedewszystkiem może podniósłby się wreszcie ów zabójczy poziom reżyserji w naszych teatrach, o czem już doprawdy aż za wiele napisano, nic zaś ku ulepszeniu nie uczyniono. W niezwykle interesującym szkicu p. t. „Polski teatr na przełomie“ (miesięcznik „Ponowa“, № 3, str. 258—274) rysuje Michał Orlicz opłakany stan dzisiejszej reżyserji w teatrach polskich, gdzie — z jedynym wyjątkiem „Reduty“ — królują w tym kierunku jedynie: ignorancja, szablon, rutyna, jakie wszechwładnie opanowały sceny polskie i dławią każdy zdrowszy poryw w nowoczesnym teatrze. Mści się to tak fatalnie, że nawet nieliczni i niewątpliwie twórczy reżyserowie, ulegają jakiejś depresji i byle jako zbywają najpotężniejsze dzieła. Oczywiście, trudno jest wymagac od reżyserów rzemieślników, by wystawiając automatycznie wszystkie niemal kolejno sztuki bieżącego repertuaru, zdołali wykrzesać z siebie cośkolwiek twórczej inwencji; nie da się jednak zaprzeczyć, że ten ogólny zanik reżyserji wpływa na osłabienie wrażenia teatralnego, jakie winny dawać grane utwory, i przyczynia się do pogłębienia obecnego kryzysu w naszych teatrach.

To też w pojęciu przesilenia teatralnego należy przejrzyście wyodrębniać momenty czysto finansowe od artystycznych i od tych, które zależą wogóle od fatalnej organizacji naszego życia intelektualnego (twórczość polska, krytyka teatralna, zanik reżyserji).

Słowem, kryzys teatralny jest logicznym nieuniknionym wynikiem całego kompleksu zjawisk społeczno-artystycznych w polskim teatrze.

Niemałą przyczyną jest też zbyt wielka ilość teatrów (szesnaście), przez co nowo powstałe teatry odebrały znaczną część publiczności teatrom istniejącym, wpływając tym sposobem na ustawiczne rozstrzelenie publiczności, której nie wystarcza dla żadnego z teatrów na stałe.

Eugenjusz Świerczewski.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Obrazy Dürera w Krakowie. Na jednem z posiedzeń członków komisji historji sztuki, p. Leonard Lepszy, jeden z najwybitniejszych polskich historyków sztuki, wygłosił obszerny referat o pobycie Albrechta Dürera w Krakowie i o stosunku wielkiego artysty do Wita Stwosza. W referacie tym prelegent zaznaczył, że w Krakowie znajdują się w klasztorze OO. Dominikanów dwa obrazy Dürera—„Madonna“, malowana na drzewie dębowem, i „Wniebowzięcie“, malowane na drzewie lipowem. P. Lepszy twierdzenia swoje poparł bardzo ścisłą i rzeczową analizą kompozycji i techniki obrazów oraz analogją ich ze znanemi dziełami mistrza.

„Selected Polish Tales“.—„Wybór bajek polskich“, w tłómaczeniu pp. E. C. M. Benecke i Marji Busch, wyszedł w Londynie, nakładem firmy Milford.

O książce tej pisze krytyk *Manchester Guardian:*

„Dla tych, którzy mają upodobanie do utworów fantastycznych, ponurych i tragicznyck „Wybór bajek polskich“ jest książką dobrą. „Kobieta w bieli“ może być nazwana śród nich arcydziełem“.

Nie wiemy narazie z czyich bajek wybór został zaczerpnięty i kto go dokonał — stąd niepewność, czy jest odpowiedni dla czytelników tak zupełnie z literaturą naszą nieobeznanych.

Jerôme et Jean Tharaud. „Quand Israël est roi". Bracia Tharaud, którzy coraz częściej opuszczają dziedzinę czysto powieściową dla studjów historycznych, geograficznych lub etnicznych — są przedewszystkiem przedziwnymi opowiadaczami, celują jasnością żywego i obrazowego stylu. Po książkach p. t. „W cieniu Krzyża" i „Królestwo Boże", tych ponurych obrazach z życia ubogiego żydostwa w Europie wschodniej, dają w pracy najświeższej: „Gdy Izrael jest królem" — świetny opis rewolucji węgierskiej 1918 — 1919, w której żydom przypisują wpływ decydujący. Po Izraelu - ofierze, Izrael - tryumfator. Nowa książka braci Tharaud spotkała się we Francji z niejednym zarzutem dla swojej tendencji politycznej; głównie zaś z powodu apoteozowania hr. Tiszy, fanatycznego zwolennika Bismarka i surowej krytyki hr. Michała Karolyi'ego, przyjaciela Francji, liberała i demokraty, mimo wysoce arystokratycznego pochodzenia. Natomiast bardzo słusznie i z wielką umiejętnością wyszydzają pp. Tharaud tych polityków, finansistów, dziennikarzy i zawziętych germanofilów, którzy budzą się frankofilami nagle pewnego ranka w październiku 1918 r., gdy Francuzi zwyciężyli i stali się im potrzebni. Warunki pokojowe wszelako zawiodły nadzieje hr. Karolyi'ego, wywołały ogólne wzburzenie, zawichrzenia i upadek Karolyi'ego, któremu autorowie nie szczędzą nagany za to, że się otoczył żydami, radykałami, inteligentami i wolnomularzami. Powstanie bolszewickie z r. 1919 w Budapeszcie wybuchło za sprawą żydów twierdzą, nie bez słuszności, pp. Tharaud. Według nich, bolszewizm jest formą mesjanizmu, sposobem zapewnienia władzy Izraelowi, duchowi proroków i rabinów, których autorowie nie rozróżniają. Tymczasem prorocy, głosząc sprawiedliwość i wolność z pewnym odcieniem rewolucyjnym, stawali w sprzeczności z duchem rabinicznym i talmudycznym. Walka tych dwóch kierunków, z których drugi jest ściśle zachowawczy, zapełnia dzieje ludu Izraela.

Andrzej Lichtenberger. „Raramémé". Autor „Małego Trotta" nie jest wielbicielem cywilizacji w tej formie, w jakiej objawia się dzisiaj i napisał już dawniej bardzo piękną rzecz, w której sławi tryb życia wolny i pierwotny, p.t. „Centaury". Dzisiaj daje znów książkę niezbyt pochlebną dla naszego rzekomego postępu, jakby akt oskarżenia przeciw obyczajom europejskim i europejskiemu zniepraw ieniu. Akcja rozgrywa się na wyspie Oceanu Spokojnego, śród ludzi dzikich zupełnie, ale łagodnych z charakteru a niewinnych z obyczajów, którzy żyją posłuszni tradycjom i duchowi przodków.

Treścią powieści są dzieje prawnuczki ciotecznej jednego z towarzyszów słynnego żeglarza La Pérouse'a i jej narzeczonego, którzy, przybywszy na dziką wyspę, gdzie żył i zmarł pradziadek, znajdują tam drugą zakochaną parę — Rara i Mémé—również od niego pochodzącą. Opis tej ujmującej pary, odmalowanie stanu, jakby zaczarowanego, w jakim trwa dotąd wyspa, do której nie dotarło jeszcze zniepraw ienie, kontrast spokojnej dzikości i cywilizowanego niepokoju — stanowią niepospolite walory literackie tej książki wymownej i oryginalnej.

Zręcznie bardzo wprowadził też autor do powieści wojnę i typy nienawistnych Niemców.

P. Belloc Lowndes. „Grhat Timmy Old". Okultyzm dostarczył utalentowanej autorce sensacyjnych powieści wątku do tej nowej książki. Nie stanowi jednak jej zasadniczej podstawy, tak, że zarówno nie przekonywa czytelnika do tego stopnia, by w opisane zdarzenie nadprzyrodzone uwierzył bez zastrzeżeń, jak i nie dopuszcza do twierdzenia, że wypadki opowiedziane nie mogły się zdarzyć. Timmy, bohater tytułowy, 12-to letnie dziecko, obdarzony jest „nadprzyrodzoną" siłą i za jego to sprawą dzieją się rzeczy niezwykłe.

Typy, jakie skreśla autorka, są żywe i prawdziwe, odtworzone z humorem, zwłaszcza gromadka dzieci. Treść przykuwa do końca uwagę czytelnika, w czem autorka celuje zazwyczaj.

L. Rogowski.

Na jednym z koncertów w Filharmonji słyszeliśmy dwie suity orkiestrowe „Villafranca" i „Mamidła" L. Rogowskiego po raz pierwszy grane w Warszawie. Pomimo inowacji muzycznych, które artysta wprowadza do swych utworów, główną cechą jego kreacji muzycznych jest mistycyzm głęboki w połączeniu z wschodnią żywiołowością.

Obydwa te utwory wzbudzają w słuchaczu podziw i głębokie zastanowienie, a chwilami barwna linja melodyjna każe zapomnieć o śmiałości nowych pomysłów orkiestrowych i wprowadza w nastrój natchniony, w świat mistycyzmu lub też maluje obrazy wschodu, co czyni z Rogowskiego twórcę muzycznego słowianina o mocno zabarwanionym polskim tonie.

L. Rogowski wydał dzieło „Muzyka Przyszłości", z którego widać, że autor zbliza się w swych zasadniczych poglądach na muzykę do światopoglądu Nitschego, i nie jest zwolennikiem muzyki niemieckiej, muzyka ta bowiem „nie uznaje innego rozwinięcia symfonicznego tematu, jak przez wyduszanie z niej ostatnich soków. Czyni to za pośrednictwem powtarzania tematu w górze, w środku i w dole pochodów harmonicznych, powtarzań rozszerzonych i ściśniętych oraz progresyj, bez których nie istnieje muzyka niemiecka i któremi zaraziła ona wszystką muzykę w Europie na szereg lat. Może jest i racja, mówi dalej autor, w tych niemieckich piwnych długościach — jest to racja znużenia, czyli odebrania słuchaczowi woli do protestu, lub refleksji, zmuszenia go, by tylko słuchał. Tak, może to i słuszne, ale środek to dość brutalny, takie powolne zabijanie w mózgi słuchaczy symfonicznego gwoździa gadatliwości muzycznej."

Bezsprzecznie L. Rogowski jest rewolucjonistą w muzyce, gdyż uważa, że materjał dzisiejszej muzyki jest przetrawiony do ostatka przez ludzkość— tym materjałem można operować przy znajomości rzeczy w ten sposób, że możliwem jest pisać muzykę bez treści, być kompozytorem z fachu, nie będąc twórcą (musimy przyznać Rogowskiemu rację, słysząc fortepianowe utwory np. d'Alberta i jego operę „Zamarłe oczy"). Dla nowej treści nowego człowieka potrzebnem jest rozszerzenie materjału, jakim się ma wypowiadać i nowo ograniczenie tych środków, by poczuł się wśród nich swobodnie, by poczuł się nad nimi władcą — mistrzem. Przedewszystkiem gamy, które człowiek utworzył i zbadał, powinien je rozwinąć, uzupełnić i wzbogacić. W tem miejscu Rogowski przypomina o zapomnianym dobytku ludzkości, jakiemi są pieśni ludowe, oraz pradawna muzyka ludów wschodnich. Najstarsze w Europie pieśni ludowe znajdziemy w Szkocji, Irlandji, Polsce, Rosji, Litwie, Białej Rusi i Grecji. Są one uczuciowe i łatwo zrozumiałe dla każdego z mieszkańców tych krajów. Ludzie którzy nie przywykli do tych pieśni od dzieciństwa, łatwo się przyzwyczajają do ich dziwnego nieco wschodniego charakteru i już bez trudności rozumieją ich piękno. W dziedzinie rytmu Rogowski wprowadza również swoje zasady. Uważa, że rytm żyjący i żywiołowy mieszka w nas i że my mieszkamy w nim i że najbardziej wysuszony wybijacz taktu nie jest w stanie dyrygować w rytmie matematycznie równym, choć stawia się to jako ideał przy wykonywaniu dzieł klasyków, wskutek czego publiczność często rozumie pod słowem klasyczny nie „wzorowy", ale poprostu „nudny". Rogowski wskazuje na Chopina, który dając nowe określenie „tempo rubato" dowiódł, że uświadamiał sobie nieścisłość rytmu i zgadza się z nim, jako z przejawem życia.

„Tempo rubato" istnieje u J. S. Bacha i u Bethowena, Pergolesa, Glücka i innych, tylko teorje nie-

mieckie starały się narzucić światu pojęcie martwoty i monotonji w wykonywaniu dzieł tych mistrzów.

Rogowski uważa, że tak boskiego elementu życia, jakim jest rytm nie można ująć w ramy matematyczne praw odwiecznych. W danym wypadku przez Rogowskiego przemawia psychika polska.

Rogowski dalej twierdzi, że w tym samym stosunku w jakim postępuje obecnie rozwój rytmu, winien postępować i rozwój formy muzycznej, jako przejaw rozszerzonego tegoż rytmu!

Porządanem byłoby, żeby dyrekcja Filharmonji wpadła na myśl urządzenia koncertu z samych utworów Rogowskiego, jak również innych nowoczesnych polskich kompozytorów, na wzór koncertów poświęconych Schumanowi, Brahmsowi, Schubertowi i t. d. i t. d., żeby publiczność polska mogła zaznajomić się i dobrze poznać dzieła swoich rodzimych kompozytorów. Na całym świecie, rzażdy kraj kultywuje przedewszystkiem swoją twórczość, u nas zaś kultywuje się przedewszystkiem niemiecką muzykę, bardzo rzadko odtwarzając polskie utwory muzyczne.

Gdy w Rosji nastąpił okres intensywnej twórczości muzycznej, we wszystkich salach koncertowych i operach słyszano przeważnie rosyjskie utwory — nowe opery zajęły miejsca starych, które jednak również zjawiały się od czasu do czasu na scenach operowych. Najnowsze utwory muzyczne były tak popularyzowane, że melodje Rymskiego-Korsakowa i innych [nieraz słyszało się na ulicach, śpiewanie przez chłopaków z ludu. A czy u nas zna ktokolwiek chociaż jedną melodję z „Erosa i Psyche" Różyckiegoo, z „Bolesława Śmiałego" Różyckiego i z wielu innych dzieł naszych nowoczesnych kompozytorów, nie mówiąc już o utworach Rogowskiego, które oszałamiają swoją nowością i jak to zwykle bywa są przyjmowane z uprzedzeniem i niedowierzaniem.

Ewa Serednicka-Oleszkowska.

Z Opery i z Filharmonji.

(*D'Albert — kompozytor i pianista*).

D'Albert należy do internacjonalistów, którzy operują rutyną, szaloną pamięcią muzyczną, podchwytującą melodje z rzeczy granych i znanych — wyzbyty ze wszelkich pierwiastków twórczych. Muzyka przestaje być sztuką i natchnieniem u tego typu ludzi, a wkracza w krainę rzemiosła. Dowodem tego wszystkiego jest opera „Zamarłe Oczy". To piękne libretto pełne prostoty i głębokiej poezji, które powinno stać się źródłem czystego natchnienia muzycznego — ginie w bezmiarze bezduszności, i poprostu nuży słuchacza zupełnym brakiem pomysłów melodyjnych. Jedynie mała piosenka o Erosie i Psyche stanowi wyjątek. Napewno, gdyby taką operę napisał polski kompozytor, toby jej nikt niechciał słuchać. Zaiste publiczność ma niesłychaną cierpliwość wobec wszelkich płodów zagranicznej reklamy.

Jako pianista pan d'Albert imponują swoją genjalną techniką, która jest niestety pozbawiona duszy i polotu, która jednak posiada oryginalną finezję w wykonywaniu pewnych figur muzyczzych. Wszystkie jego utwory fortepianowe są wzorowane na Liszcie — a jeden walc jest jakby żywcem zciągnięty z klawjatury Lisztowskiej.

Gdy się słucha gry pana d'Alberta, więc z początku jego technika wzbudza podziw, a wykonywanie przez pana d'Alberta utworów Bethowena i Liszta (notabene w niewielkiej ilości) pozostawia naogół dość dodatnie wrażenie, ale gdy pan d'Albert wykonuje swoje utwory, nie zawierające w sobie żadnej twórczej myśli żadnej głębokiej treści, i gdy błyskawiczne passaże przelatują po kilkadziesiąt razy klawiaturę — opanowuje słuchacza znużenie, rozczarowanie, a w końcu nawet oburzenie i mimowoli nasuwa się pytanie: a gdzież jest ta sztuka bosko działająca, oczyszczająca serca ludzkie i unosząca duszę w bezkresy, gdzie jest muzyka?

S.

Wobec epidemji.

Jeszcze w roku 1920, mówiąc o niebezpieczeństwie sąsiedztwa z bolszewizmem—niebepieczeństwie, którego żadne traktaty pokojowe zażegnać nie mogą, pisaliśmy, że „jeżeli bolszewizm wyczerpany wojną domową, nie będzie w stanie podjąć nowej akcji zaczepnej na zewnątrz, to jednakże sam fakt zapadania w otchłań nędzy i zdziczenia $1/_8$ kuli ziemskiej nie może nie mieć następstw fatalnych dla całej ludzkości". („Tydzień Polski" Nr. 30, 1920 r.).

Jednym z tych następstw fatalnych, które najprzód Polska odczuła, jest fala chorób zakaźnych, która idzie z głębi zrujnowanej i zniszczonej głodem Rosji. Wróg w postaci duru plamistego przełamał nasz front, kordon sanitarny, broniący granicy od wschodu i przedarł się do wnętrza kraju. Nasz front sanitarny został przełamany, ponieważ nie był przygotowany do odparcia tak potężnej fali chorób zakaźnych, która idzie razem z falą repatrjantów.

Ilość chorych repatrjantów dziesięciokrotnie przewyższa pojemność szpitali i siły personelu lekarskiego na punktach odbiorczych. W tych warunkach kwarantanna w Równem i Baranowiczach nie tylko nie jest tamą dla szerzenia chorób, ale staje się nowem ogniskiem zarazy. Ludzie, którzy przybywają zdrowi i czyści na punkt, nabywają chorób w zakażonych i zanieczyszczonych barakach i roznoszą dalej choroby. Kto może więc, stara się wszelkimi sposobami uniknąć kwarantanny, która staje się nie tylko uciążliwą i przykrą w najwyższym stopniu, ale wprost życiu zagraża. Wiele osób przyjeżdża bez żadnej kwarantanny, a śród nich są i zdrowi i chorzy. Roznoszą więc choroby i ci, którzy przechodzą kwarantannę i ci, którym udaje się jej uniknąć.

Wobec tego powstaje pytanie, co robić? Jak zaradzić grożnemu niebezpieczeństwu?

Najprostszem i najradykalniejszem na pozór środkiem było by zamknięcie granicy wschodniej i powstrzymanie repatrjacji. Ale środek ten: 1) jest nie ludzki, skazywałby bowiem literalnie na śmierć ludzi, którzy wszystkiego wyzbywszy się i przygotowawszy się do wyjazdu, nie raz siedząc w wagonach już, oczekują chwili powrotu do kraju, 2) jest niewykonalnym, bo powstrzymanie regularnej repatrjacji, zwiększy dziką repatrjację i, nie zważając na wszelkie kordony, ludzie, uciekający od śmierci i głodu, będą przechodzili granicę, 3) nie prowadzi do celu, bo zaraza już się przedostała do kraju.

To też o zupełnem zawieszeniu repatrjacji nikt serjo nie mówi, ale mówi się o „unormowaniu" jej.

Jak się wyjaśniło na konferencji prasowej z przedstawicielami władz sanitarnych w redakcji „Kurjera Warszawskiego" 6-go stycznia na stano-

wisku „unormowania repatrjacji", to jest niepuszczania repatrjantów po nad ustaloną normę stoi Naczelny Komisarjat do walki z epidemją, Komisarz zaś nadzwyczajny do spraw repatrjacji p. Władysław Grabski sprzeciwia się temu.

Słuszność przyznać należy p. Grabskiemu. Przeciwko t. zw. unornowaniu repatrjacji można powtórzyć wszystko to, co się mówiło wyżej przeciwko zupełnemu przerwaniu repatrjacji.

Nieludzkiem było by skazywać na śmierć po za kordonem tę część repatrjantów, która wychodzi poza ustaloną normę. Był by to następnie krok fałszywy z punktu widzenia politycznego Bolszewicy, prowadząc wśród uchodźców agitację, dowodzą, że Polska nie chce albo nie może puścić do kraju swoich obywateli.

Powstrzymujące lub ograniczające repatrjację, Polska przyznała by rację bolszewikom. Do tego rezultatu i zmierzali bolszewicy, dezorganizując planowo ruch repatrjacyjny, to powstrzymując ten ruch, to rzucając i to w zimie właśnie całe tłumy uchodźców na polskie punkty odbiorcze, nieprzygotowane do przyjęcia takiej ilości ludzi. To należało przewidzieć, ale teraz ograniczyć ruch repatrjacyjny, to znaczyłoby przyznać swoją przegranę. Trzeba walczyć i wytężać siły.

P. Grabski ma rację, sądząc, że środki sanitarne powinny być przystosowane do ruchu repatrjacyjnego, a nie odwrotnie ruch repatrjacyjny do środków sanitarnych. Środki powinny się znaleźć, ilość szpitali i personel lekarski powinny być powiększone do tej normy, jakiej wymaga ruch repatrjacyjny, nasz front sanitarny powinien być wzmocniony należycie i naprawiony.

Ale trzeba pamiętać i o tem, że raz już front został przerwany i zaraza przedostała się do kraju, to tu już żadne kordony i kwarantanny nie pomogą, jeżeli całe społeczeństwo nie stanie świadomie do walki z epidemją, nie weźmie się zarządzenia natychmiastowych środków ostrożności i do naprawy ogólnego stanu zdrowotności miast i wsi.

Z piśmiennictwa.

Dr. Tadeusz Zieliński: Starożytność antyczna a wykształcenie klasyczne. Wydanie II. Bibl. Dydakt. Nr. 4. Zamość 1920, str. 32.

Rozprawka powyższa napisana została w 1907 r., kiedy szkolnictwo polskie w zaborze rosyjskim, po kataklizmie strajkowym, stawiało pierwsze kroki. Wydana z przyczyn od autora niezależnych (zdaje się cenzuralnych), w dwa lata później w cyklu „prac metodycznych w zakresie wykształcenia średniego", — przyczyniła się w tych pierwocinach naszego szkolnictwa niezawodnie do właściwego zorjentowania sfer pedagogicznych polskich w systemach nauczania na korzyść systemu klasycznego. Istotnie gimnazja klasyczne uzyskują podówczas znakomitą przewagę nad szkołami innych typów, zarówno pod względem ilościowym, jak jakościowym.

Profesor Zieliński śmiało może powiedzieć, że głos jego nie przeminął wówczas bez echa i że w okresie niemowlęctwa, szkolnictwa polskiego w Królestwie rolę swą odegrał.

Dziś, kiedy szkolnictwo to w niepodległej Polsce wkracza w wiek swój męski, kiedy przestało być prześladowaną przez władze placówką pracy narodowej, kiedy w szczęśliwym bycie nabiera pełnego tchu, — szkic prof. Zielińskiego pojawia się w wydaniu drugiem, by rolę swą dawną spełnić ponownie.

Istotnie nie można było znaleźć sposobniejszej chwili na przypomnienie cennych tych uwag.

Typ szkoły klasycznej, tak wspaniale zapowiadający się na gruncie polskim, napotkał niezrozumiałą zgoła opozycję pewnych sfer rządowych. O ile w walce o program ze zwolennikami typów innych wychodziła zwycięsko, o tyle, natrafiwszy na opór czynników, które winne były mu dać troskliwą opiekę, przestaje być typem dominującym w naszem młodem szkolnictwie.

Profesor Zieliński używa mocnych argumentów. Nietylko naukowo uzasadnia przewagę klasycyzmu w ukształceniu umysłowości całej ludzkości, nietylko podnosi niewątpliwe korzyści swego systemu, ale uderza w ambicje nasze, przypominając wspaniałe tradycje kulturalne, tak ściśle związane z klasycyzmem, rzucając wreszcie ostrą przestrogę, z głębokiej obserwacji dziejów ludzkości wyciągniętą, że kto w starożytności nie chce uznać rodzica, temu obcy będzie panem. Z pięknem i gorącem wezwaniem zwraca się do młodzieży polskiej; lecz kiedy w 1907 r. apel ten skierowany był właściwie i bynajmniej nie poszedł na marne, — dziś należałoby może rzucić go gdzieindziej, w kierunku naszego nauczycielstwa i czynników w tej mierze decydujących.

Miejmy nadzieję, że życie polskie rozstrzygnie ten opór należycie, jak zauważa redaktor cyklu, prof. Kobierzycki, sam zresztą filolog.

Należy tylko przystąpić do pracy (kończymy słowami znakomitego autora) „z dobrą wolą — homines bonae voluntatis".

Stefan Pomarański.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA", KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.